

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 137.

Prenumerata w Warszawie
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 10 maja 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Michał Sędziwój (z drzeworytem). — Kronika tygoanijowa. — Obrazy z Czarnogórze i jego pobrzeży (z trzema drzeworytami) dokonanie. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Tarnobuda z kościołem cudami słynącym (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Odezwa do redaktora Tygodnika Ilustrowanego. — Kronika sztuk pięknych. — Przegląd piśmienniczy. — Komunikacye, przemysł i handel. — Obrazy krakowskie (dokonanie). — Dumka Niemowa (poetya). — Korrespondencya od redakcyi.

Michał Sędziwój.

Lege, lege, lege et relege, labora, ora et invenies.
Zaczynamy od tej maksyminy z *liber mutus*, która

Sędziwój wziął sobie za godło, chociaż niestety! życie jego, jakkolwiek pełne dziwnych i dziwnie z sobą poplątanych faktów, nie usprawiedliwiało tego godła. W ogólnej historii alchemii, Michał Sędziwój zajmuje jedno z pierwszych miejsc, i nie było może tak odległego kraju, w którymby imię jego nie zasłynęło w swoim czasie, nie było dworu europejskiego, któryby nie pożądał jego odwiedzin i nie słał doń ofiar, żeby go zwabić do siebie. A życie to na dwie oddzielne rozpada się połowy, któreby można wzrostem i upadkiem sławy jego oznaczyć. Niestety! rodak nasz, jakkolwiek rzeczywiście ukształcony i mogący poczesne zająć miejsce pomiędzy współczesnymi europejskimi uczonymi, w tym właśnie z czego zasłynął i co nagłe jego wywyższenie się spowodowało, nie swoją świecił zasługą; z cudzej on pracy, z cudzych zasobów skorzystał, i umiejętnie tylko potrafił ich użyć.

Ale dla dokładnego zrozumienia historii Sędziwoja i faktów które w swoim czasie tak znakomity miały rozgłos, potrzeba czytelników choć kilku słowami objaśnić czem była alchemia i jakie znaczenie w tej nauce posiadał ów kamień filozoficzny czyli kamień mędrców, którego chwilowe posiadanie stało się główną zasadą i przyczyną wziętości i sławy Sędziwoja.

Przedmiotem alchemii jest, jak każdemu mniej więcej wiadomo, zamiana metali.

Celem alchemistów było zamienić metale liche na szlachetne, — robić sztucznie złoto i srebro.

Alchemicy uważali metale za ciała złożone, twierdzili więc że zmieniając stosunek części składowych, można i naturę metalu przemienić.

Odkrycia nowożytniej chemii, która

w znacznej części swój wzrost i rozwinięcie pracom alchemików zawdzięcza, nie zmodyfikowały tak dalece tej opinii, jakby można było przypuścić.

Nauka alchemii, której wynalazek mylnie przypisywano Arabom, (oni bowiem tylko pierwotną zgłoszę jej nazwie nadali), wzięta została w spadku z tajemnicami wiedzy najstarożytniejszych narodów ziemi naszej.

Ziemia, woda, ogień i powietrze, żywioły, elementa czyli pierwiastki, z których się cała materya świata miała składać, były u starożytnych magów, kapłanów

egipskich, braminów indyjskich i t. d., tylko postacią, którą później wzięto za rzeczywistość, i jak w wielu rzeczach czyniono, przywiązano się do powierzchni, nie wglądając we wnętrze.

Mędrycy narodów starożytnych dokładnie byli obznajmieni z tajemnicami fizyki, a nawet i chemii, tak jak je dziś nauka rozwinęła. Wiedząc atoli że cztery główne pierwiastki: węgiel (ziemia), wodoród (woda), kwasoród (ogień) i azot (powietrze) wchodzi w skład materyj organicznych, sądzili że materye mineralne z tychże samych pierwiastków składać się muszą.

Przytaczamy tę opinią jako fakt; sprawdzenie bowiem jej prawdopodobieństwa nie do nas należy.

Owóż ta jest różnica dążeń nauki nowoczesnej i dawniej, że dawne za cel swych badań w naukach ścisłych głównie syntezę oznaczali, a dzisiaj, do tąd przynajmniej, najwięcej rezultatów osiągnięto na drodze analitycznej.

Żeby więc zrozumieć zasady według których alchemicy pracowali nad dokonaniem wielkiego dzieła, to jest tworzenia sztucznego metali, trzeba wiedzieć iż utrzymywali że tworzenie to odbywa się na wzór materyj organicznych, przez zapłodnienie pierwiastku żeńskiego za pomocą pierwiastku męskiego. To było owo jajko filozoficzne, nad którego wyhodowaniem tylu uczonych przez długie wieki łamało sobie głowy; z tego to zapłodnienia, dobrze i w należytych warunkach odbytego, miał się tworzyć kamień mędrców, którego własności poniżej opiszemy.

Pierwiastkiem męskim używanym do tego działania było złoto; pierwiastkiem żeńskim merkuryusz filozofów, także zwany głównym działaczem albo kwintessencją, której właśnie utworzenie było główną i niedocieczoną zagadką.

Kamień mędrców miał posiadać kilka ważnych własności.

1. Jako mały eliksir, mała czyli biała tynktura w postaci proszku białego, skuteczniał on przez projekcyę czyli wrzucenie go na roztopiony, albo nawet do pewnego tylko stopnia rozgrzany metal, przemianę tego metalu na srebro.

2. Jako wielki eliksir, wielkie magisterium, przeprowadzony do stopnia większego oczyszczenia, w postaci proszku żółto-czerwonawego, uszlachetniał tymże sposobem wszelki metal na złoto.

3. Tenże sam proszek czerwony, przeprowadzony do najwyższego stopnia do-



MICHAŁ SĘDZIWÓJ. (Rysował Łuszczkiewicz, z portretu znajdującego się w zbiorze pana Ambr. Grabowskiego w Krakowie).

skonałości, użyty w roztworze koloru purpurowego, jako złoto do picia, *aurum potabile*, miał być najskuteczniejszym, a według wielu uniwersalnym lekarstwem na wszystkie bez wyjątku choroby, *panaceum zycia*.

Ludzi którzy słynęli jako posiadający tajemnice robienia kamienia mędrców, zwano *adeptami*.

Oto jest najpobieżniejsze jakie mogliśmy dać streszczenie zasad alchemii.

A teraz przystąpmy do faktów, których właśnie dzieje życia Sędziwoja i połączone nierozdzielnie z nimi dzieje Setona, zwanego także kosmopolitą, największą zawierają.

Fakta te wszystkie z wiarogodnych czerpalimy źródła; historia je stwierdziła, a uczeni tegocześni, w różny sposób je tłumacząc, prawdziwości ich jednak nie zaprzeczają.

Dla żadnych ubocznych względów nie staraliśmy się w niczym usprawiedliwić bohatera opowiadania naszego, ani też w lepszym okazać go światło, niż nam go przedstawiają wiarogodne świadectwa historyczne. Staraliśmy się o prawdę przedewszystkiem; ale w dziejach ludzkości zbyt często się zdarza, że nawet sama prawda bywa nieprawdopodobną.

Wiek XVI miał się ku schyłkowi.

Wiek ten można słusznie nazwać chwilą dziejową w której alchemia największą wpływ wywierała na umysły.

Jeden z najwiarogodniejszych historyków tej nauki (1) tak się o tym wyraża:

„Namiętność do badań hermetycznych przesiąknęła wówczas wszystkie niemal warstwy społeczeństwa; od monarchy aż do chłopca wszyscy w nie wierzyli.

„Żądza bogactw, zaraza przykładu, były głównymi pobudkami do oddawania się tym praktykom; w pałacu czy w lepiancy, u ubogiego rzemieślnika czy u bogatego mieszczanina, wszędzie można było spotkać się z tyglami, z fajerkami, z retortami, wszędzie, przez lata całe, z niezmierną cierpliwością dopilnowywano wylegania się *jajka filozoficznego*.

„Nawet krata klasztorna nie była w tym zaporą, bo jak mówi Michelet: nie spotkałeś ani jednego klasztoru, w którymby jaki piecyk alchemiczny nie znalazł pomieszczenia. Nawet doktorzy, pomimo, a może i skutkiem więcej rozgałęzionych wiadomości, z dziwnym jakimś zamiłowaniem przykładali się do alchemicznych badań, a zamiłowania tego najlepiej dowodzi projekt jaki w XVI wieku wniósł uczony doktor Joachim Tancke, żeby przy wszystkich uniwersytetach utworzyć osobne katedry alchemii, z którychby można wyklądać i komentować publicznie Gebera (2) i Lulliusa (3), obok Hippokratesa i Gallena.“

Przy końcu XVI wieku i na początku XVII usposobienie to ogólne wzmógł jeszcze dawny prąd mistycyzmu, który z krańca do krańca przebiegł Europę, jak to zresztą w danych epokach dziejowych miało i miewa dotąd miejsce.

Zdawało się iż wiek ten rozmyśli i eksperymentacyi, w filozofii, naukach, sztukach, społeczeństwie, że ta wielka epoka przechodowa, zaczynająca się wojną trzydziestoletnią, przyswiewająca walkom Ludwika XVI, pierwszemu prawdziwemu tryumfowi chrześcijaństwa nad Turkami odniesionemu przez Sobieskiego pod Wiedniem, a kończąca się olbrzymim sporem Karola XII i Piotra Wielkiego, który całą północno-wschodnią Europą zatrzęsł, że ten wiek nareszcie encyklopedystów, którzy mieli zaprzeczyć temu co wszystkie wieki poprzednie jednogłośnie za prawdę uznali, rozpoczyna się od jakiegoś dziwnego przełomu w naturze, w umiejętnościach, w życiu.

Wielkie wynalazki nowoczesne kielkują w narodzie; siła pary z Salomonem de Caus zasypia na dwa wieki w szpitalu waryatów; Tycho de Brahe i Kepler, znakomici ówczesni astronomowie, na żądanie cesarza Rudolfa II robią wyrachowania astrologiczne; w całej zachodniej Europie rozwija się mnóstwo processów

o czarodziejstwo i opętanie, których widownią bywają najczęściej klasztory zakonne, a obwinionymi księża najbardziej słynni z nauki i wielostronnego wykształcenia, processów, z pomiędzy których wytoczony Urbanowi Grandier po całej Europie znalazł głośne echo.

Wszyscy monarchowie ówczesni, nie wyjmując nawet naszego Zygmunta III, zajmują się alchemią i starają się na dwory swoje sprowadzić jeżeli już nie adeptów, to przynajmniej filozofów słynnych ze swoich badań, którzyby im dopomogli do wynalezienia *wielkiej tajemnicy*; przy przekształcaniu się bowiem stosunków, przy rozwijaniu się nowej równowagi państw europejskich i pierwszych objawach owej *polityki zaokrąglania*, którą później Fryderyk II tak tryumfalnie w życie wprowadził, żądza złota staje się ogólną, w miarę wzrastających potrzeb i koniecznie w ślad za tęp idącej niemożności ich zaspokojenia.

Ale dążenia te, zachcianki, usiłowania największą kielkują w Niemczech, i tam też idee alchemiczne znajdują dla siebie grunt najstosowniejszy.

Cesarz Rudolf II, przewany przez pochlebców dworskich *Hermesem niemieckim*, otacza się mistykami, astrologami, alchemikami. Każdy uczony, każdy doktor, każdy artysta, ażeby się do niego zbliżyć, musi zdać przedewszystkiem egzamen z posiadania jakiegoś tajnej umiejętności. Dzień i noc pracuje cesarz w laboratorium, które sobie przy pałacu swoim w Pradze czeskiej zbudować kazał. Mało go obchodzi ciągle klótnie rzeszy, nie dba o najazdy Turków niszczących południowe prowincje jego państwa, nie zwraca uwagi na zamieszki reformacyjne, zapowiadające już wielki wybuch, który całe Niemcy miał pokryć krwią i gruzami, — byleby mu dopisała jaka nowozalecona tynktura, byleby ujrzał na własne oczy jakie ciekawe doświadczenie pomyślnym uwieńczone skutkiem. Szczęśliwców co potrafili omamić jego wzrok albo podejść dobrą wiarę, obsypuje dostojenstwami i bogactwami, robi z nich wielkich dygnitarzy państwa, hrabiów albo baronów imperium, obdarowywa ich dobrami, daje im ciągle przystęp do swojej osoby; mniej umiejętności albo mniej zręcznych zamyka w lochach podziemnych, lub każe w złoconych sukniach na złoconej szubienicy wieszać, na urągawisko ich sztuki kłamaną, na postrach i naukę innym.

Łatwo pojąć że przy takim przykładzie z góry, wszyscy inni pomniejsi władcy niemieccy uważali praktyki alchemiczne za jakiś konieczny przywilej najwyższej władzy. Szczególniej tęp przywiązaniem do nauk hermetycznych, które w nich aż do monomanii prawie dochodziło, odznaczali się elektorowie sascy.

Kurfirst August I w laboratorium swoim w Dreźnie, zwanem *złotym domem*, pracował pilnie nad kamieniem mędrców i pisał nawet w liście do włoskiego alchemika Francesco Forense: „Już przecie do tego stopnia postąpiłem w tej sztuce, iż dziennie z ośmiu uncjy srebra, trzy uncje złota zrobić jestem w stanie.“

Żona jego, Anna duńska, przez lud *matką Anną* zwana, w braku miejsca założyła sobie laboratorium w hażantarni.

Syn tego hermetycznego małżeństwa, elektor Chrystian I, do samej śmierci z Sebaldem Szwercerem zajmował się robotą złota, i skutkiem tego, a może pomimo tego, zostawił po swojej śmierci w skarbcu książęcym siedemnaście milionów talarów, co na owe czasy ogromną stanowiło summe.

Syn poprzedzającego, Chrystian II, pomimo że opiekun jego, Fryderyk Wilhelm książę altenburgski, rozpedził na cztery wiatry wszystkich alchemików na dworze saskim zostających, a zgłaszającemu się o rozkazy Szwercerowi powiedział, iż takimi głupstwami się nie zajmuje; pomimo że sam, doszedłszy do pełnoletności, udawał wielką pogardę dla alchemików, tajemnie jednak wierzył w ich praktyki i starał się ile możności największą ich w około siebie gromadzić.

Na dworze tego księcia, który słynął z chciwości i okrucieństwa, dwóch przymiotów niebardzo zalecających panującego, ale niestety zbyt często okazujących się w tamtoczesnych monarchach, historia zaznajamia nas po raz pierwszy z Sędziwojem, który słynął tam jako bogaty, układny, wykształcony, a mianowicie w wielkich łaskach u księcia będący cudzoziemiec.

O pierwiastkowym życiu Sędziwoja aż do tej epoki, niewiele posiadamy wiarogodnych szczegółów.

Michał Sędziwój, przez Niemców zwany *Sendivog*, przez Francuzów *Sendivoge*, przez wielu uczonych tamtoczesnych *Sensophax*, a sam podpisujący się zwykle *Sendivogius Polonus*, urodził się w r. 1566, o ile z podań o jego życiu sądzić można, we wsi Sądecz pod Krakowem. Niemcy wyprowadzają ród jego z Morawii, za czém także poszli w części i historycy innych narodów, a nawet sumienny badacz Francuz

Figuier dziwi się iż Sędziwój nie reklamował nigdy przeciwko mianu *Polonus*, dodawanemu zawsze i wszędzie do jego nazwiska.

Był on synem nieprawym, z ojca majątnego szlachcica Jakuba Sędzimir i matki Żydówki. Ojciec, który go kochał namiętnie, zapisał mu cały majątek, i za nowy dowód narodowości Sędziwoja posłużyć może, iż oprócz wioski rodzinnej, posiadał dom w Krakowie, jak to wykazaniem jest w starożytnych wiadomościach o Krakowie Ambrozego Grabowskiego. Sprzedaż nawet tego domu, o czém się z dalszego ciągu niniejszego opowiadania przekonamy, posłużyła Sędziwojowi do załatwienia czynności, która przeważny wpływ później miała na jego życie i stała się dlań źródłem bogactw i sławy.

Sędzimir, zapisawszy młodemu Michałowi cały swój majątek, nie mógł mu jednak, jako nieprawemu synowi, przekazać nazwiska. To było nawet powodem że niektórzy zagraniczni biografowie twierdzili, jakoby ojciec Michała miał nosić nazwisko nie Sędzimir, ale Sędziwoja. Twierdzenie jednak to jest bezzasadnym, Sędzimir bowiem jest nazwisko, a Sędziwój imię tylko.

Młody Michał pierwsze wychowanie otrzymał w Warszawie w zakonie oo. jezuitów, którzy postrzegłszy w nim niepomiernie zdolności, chcieli go koniecznie wykerować na swojego braciszka, i dlatego od młodu wdrażali weni ochotę do stanu duchownego. W tym celu nawet brał dalsze wykształcenie w akademii jagiellońskiej w Krakowie, oddając się w szczególności retoryce, filozofii, teologii, a do nauk przyrodzonych niewiele okazując zamiłowania.

Ale pomimo usiłowań ojców, nie udało im się tym razem sztuka; przed wstąpieniem bowiem do zakonu zaskoczyła Sędziwoja śmierć ojca, który zostawił mu fortunę nie magnacką wprowadzić, lecz wystarczającą na wygodne życie w świecie. Zresztą wątpić można by i tak Sędziwój miał się naprawdę poświęcić klauzurze zakonnej, w dalszym bowiem ciągu życia swojego okazywał zawsze usposobienia świeckie, i to bardzo świeckie, jak o tęp przekonamy się bliżej z późniejszych dziejów jego żywota.

Ujrawszy się panem sporego majątku, rozpoczął Sędziwój w Krakowie życie dworne i hulaszce. Zabrał znajomości z młodemi paniętami, w których obfitowała ówczesna stolica jagiellońska, i wprędce w ich towarzystwie usposobił się na bardzo światowego człowieka i zręcznego dworzanina. Ani śladu w ówczesnym życiu jego alchemii, ani jakichbądź badań hermetycznych. Nie robieniem złota zajmował się wtedy, ale wydawaniem go; życie bowiem jakie prowadził bardzo drogo kosztowało. Z dobrze więc nadzarpanym majątkiem, z dokładną znajomością dworów pańskich i sposobu podobania się możnym tego świata, i z kieszenią nadadowaną mnogimi listami polecającymi, udał się Sędziwój w podróż po Europie około roku 1604, licząc lat 35.

W Niemczech tułał się nasz rodak przez pewien czas po dworach różnych książy rzeszy, nigdzie długo nie zagrzewając miejsca, aż wreszcie ulgnął na dworze elektora saskiego Chrystiana II, o którym wyżej wspomnieliśmy i w którego łaskach widać niepospolite musiał zająć miejsce, bo stał się przez pewien czas nierozdzielny prawie towarzyszem jego zabaw i zajęć. Miało to miejsce roku Pańskiego 1603.

W tej to epoce zabrał blizką znajomość ze sławnym Setonem, zwanym ogólnie *kosmopolitą*, które to poznanie przeważny wpływ wywarło na życie Sędziwoja.

Niezawodną jest rzeczą że Sędziwój poznał Setona po pierwszy raz dopiero w Dreźnie w r. 1603, i myli się Goldmajer, utrzymując jakoby znajomość ta datowała z dawniejszych czasów zażyłości koleżeńskiej w Altdorf; nigdy bowiem Sędziwój nie pobierał nauk w tęp mieście.

Zanim jednak przystąpimy do opisanie tej właśnie najbardziej zajmującej epoki życia naszego rodaka, musimy powiedzieć kto był ów Seton, któremu Sędziwój zawdzięcza całą sławę, całe znaczenie swoje, a który, jeżeli zechcemy dać wiarę niezaprzeczanym świadectwom historycznym, należał rzeczywiście do najdziwniejszych zjawisk wiedzy ludzkiej; jakie nam cały przebieg dziejów świata przedstawia.

Powiedzieliśmy już że siedemnasty wiek, wiek rozwijania się światła naukowego i ducha wynalazczego, wiek krytyki i rozumowania, był zarazem punktem kulminacyjnym rozwoju nauk mistycznych, a więc i alchemii.

W tęp ostatniej nauce dziwny w owym czasie widzimy przewrót.

Kiedy wszyscy niemal monarchowie europejscy zajmują się szukaniem sposobu robienia złota i wynajdywaniem ludzi którzyby im w tęp praktyce pomoc nieść mogli; kiedy uczeni pracują w cichości, a szkoły rozprawiają głośno za i przeciw tyle rozslawione-

(1) Ludwik Figuier.

(2) Geber, uczony doktor arabski. Żył w sto lat po Mahomedzie, z urodzenia Grek. Pisał wiele o alchemii. Pisma jego są ciemne i nadęte, ale może właśnie dlatego wielu na niego się powołuje.

(3) Lullius, urodzony w r. 1235 na wyspie Majorce, miany powszechnie za adepta. On to w alchemicznym zapale wykrzyknął: *Mare tingerem, si mercurius esset*, (przemieniłbym morze na złoto, gdyby starczyło merkuryusza). Uważany był za wielką powagę pomiędzy pisarzami alchemicznymi. On to, jak twierdzą, miał zrobić 60,000 funtów złota z merkuryusza, cyny i ołowiu, dla króla angielskiego Edwarda III wybierającego się na wojnę krzyżową. Na wybitnej monocy wyobrażeni byli rycerze i okrety. Tak stemplowaną monetą król angielski zbył Lulliusa, a pieniądze na wojnę z Francją obrócił. Nie chorował Lullius nigdy, twierdząc że go kamień mędrców od chorób broni. Nie obronił go jednak od śmierci, w 80tym bowiem roku życia zginął ukamienowany przez Tunetańczyków. Niektórzy autorowie twierdzą, że przeszło 1000 tomów dzieł swoich zostawił.

mu systematowi; kiedy przy postępach jakie czyni już chemia, mnóstwo poważnych głosów wznosi się przeciw tak zwanym mrzonkom, któremi się wieki przeszłe ludziły,—spotykamy ludzi o którychrodzie i stanie społecznym niedokładne bardzo wiadomości posiadamy, a którzy przebiegają całą prawie Europę jako apostołowie alchemii, apostołowie nie już słowa, lecz czynu, nie już teorii, ale praktyki.

Ludzie ci noszą na sobie wszelkie cechy wielkiego powołania swojego: odwagę, bezinteresowność, zaparcie się siebie, poświęcenie się bez miary na męki, na tortury, na śmierć nawet, w imię idei którą głoszą. Nie pragną oni bogactw ani zaszczytów, które tak łatwo byłoby im pozyskać; nie szukają płochej oklasku nieuctwa i zaślepienia, ale starają się wynajdywać mężów najslawniejszych z nauki, najzawziętszych przeciwników alchemii i nawracać ich na swoją wiarę mocą czynu, mocą naocznego przekonania, które najskuteczniej przemawia. Rzadko sami odbywają doświadczenia, rzadko własnoręcznie dotykają się tygla w który wrzucone bywają metale mające uleść przemianie; ale tym których chcą przekonać każą samym doświadczać, udzielając im tynktury i wskazując sposób jej użycia. A w każdym prawie miejscu inne przybierają nazwisko, inną biorą na siebie powierzchowność; dlatego to tak trudno historykowi śledzić za nimi.

I dziwna rzecz: nie oni to właśnie słygną najbardziej, nie oni głośni z cudownych skutków tej wiedzy jaką nabyli poświęceniem i trudem, czy też przekazaną imieli przez starszych swoich braci w sztuce hermetycznej; najwięcej słygną, najwięcej są znani, najbardziej opływają w dostatki, ludzie których sami obrali za narzędzia do roznoszenia po świecie sławy i prawdy swego odkrycia. Mistrz kryje się w cieniu, a prosty robotnik, znający tylko ruch kółek, bez świadomości przyczyny co je porusza, wychodzi na światło.

Seton właśnie z początkiem wieku XVI otwiera szereg tych adeptów niezbadanych, a jest może najbardziej odznaczającym się z nich wszystkich, tak pod względem charakteru jak i wiedzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Warszawa potrzebowałaby się pozbyć wielu niedogodności wielkich i małych. Jedną z tych ostatnich, chociaż bardzo dokuczliwą, jest ta nieznośna droga zwirowa, rozciągająca się od sto-krzyckiego kościoła, przez Nowy Świat, Aleje, aż do ostatnich krańców miasta. Strona to właśnie najpiękniejszych ogrodów, najulubieńszych przechadzek; to nasze pola Elizejskie, nasze Plany, nasze Corso. I co nam przyjdzie z tych przechadzek i ogrodów, z tych drzew i kwiatów, kiedy tam nigdzie oddychać nie można? Nawet botaniczny ogród, który dawniej sam jeden prawie posiadał przywilej świeżości powietrza, utracił już po części swój powab; obłok kurzu wznosi się ciągle nad nim, wznawiany bezprzestannie to ruchem kołowym od strony ulic, to ciągłym rozjazdem na obszernym dziedzińcu, który mrowi się od powozów i koni.

Dalibóg, piękna to rzecz słońce; ale cóż z tego, kiedy na wszystko patrzymy tylko przez ciężką zasłonę pyłu ulicznego.

Przeszłego roku raźniej szły jakoś roboty około przerabiania bruku miejskiego; w tym roku zaprzestano ich i tylko stare dziury łatają się gdzieniegdzie. A szkoda,—bo niewielkie kawalki poprawnego wykładania bruków miejscami istniejące, dowodzą nam jak wielką byłaby dla nas wygoda, gdyby choć wszystkie główne ulice przyprowadzono do porządku. Może staje temu na przeszkodzie zamiar przerobienia kanalizacji miasta, o którym Gazeta Warszawska wspomniała w tych dniach, bez oznaczenia terminu kiedy roboty mają się rozpocząć. A i w tym względzie należałoby korzystać z ulepszeń, jakie w nowszych czasach zaprowadzono w Paryżu i Londynie. Może tym sposobem wpłynę się na osuszenie wielu ulic, gdzie ciągną prawie panuje wilgoć. Są domy których fundamenta literalnie stoją w wodzie i kilka razy do roku trzeba ją tam z piwnic pompować. Znamy obszerny dom parterowy na rogu dwóch bardzo uczęszczanych ulic. Oddawna jużby tam wspaniała stała się budowa, gdyby nie lękano się wody, na którą kopiąc troszeczkę głębiej zaraz się natrafia; ale tak, trudno zakładać fundamenta potrzebne do wybudowania kilkopiętrowego domu.

Pomimo tego nie sądzimy żeby zamiar wydania planu higienicznego naszego miasta, jaki powziął redaktor Przyjaciela zdrowia, był praktycznym. Złemu on nie zaradzi, a może mnóstwo osób nabawić nie-

spokojności. Już to całe życie miejskie, tak jak istnieje obecnie, jest nieodpowiedni warunkom higieny; ale trudno wszystkim na wsi mieszkać. Z drugiej strony miasto nie może się budować wyrwykami i pozostawiać za sobą puste place i nieużytki. W Paryżu jedną z ładniejszych części miasta stanowi cyrkuł zwany *le Marais* (Bagno), a nazwa ta od tego poszła, że rzeczywiście dawniej istniało tam bagno, które ustalono sztucznym sposobem, zaczęto budować domy i ludność napłynęła. A jednak śmiertelność tam wcale nie jest większą niż w innych częściach miasta. I nasza Warszawa budowała się na różnego rodzaju punktach; więc trudno, trzeba przyjąć to co jest i starać się tylko zaradzić złemu jak można. Głównym dziś zadaniem jaknajwiększy napływ powietrza i słońca, a temu najlepiej odpowiedzieć można przez unikanie zbytecznego zacieśniania się, rozprzestrzenianie placów i zniesienie owych uliczek, do których, jak do więzienia Glinińskiego w śpiewach historycznych, promień słońca nigdy nie dochodzi.

Tymczasem pragnęliśmy używać przechadzek bez uciążliwego wychodzenia za obręb Warszawy, polecamy dwa miejsca. Jednym z nich są tak zwane *Koszyki*, folwark położony pomiędzy rogatkami Jerozolimskimi i Mokotowskimi. Jest to prawdziwa wieś w środku miasta, ale w tym roku upiękniona staraniem. Tych zaś którychby dalekie położenie Koszyków odstraszało, przypominamy że w zeszłym jeszcze roku mówiliśmy o Foksalu, ogrodzie w samym środku miasta położonym. Znajduje się tam wszystko co pożądanym jest w przechadzce, bo i miejsca sporo, i stare drzewa dające cień w upałach, i dostatek świeżego powietrza napływającego z ogromnych obszarów zawiślańskich, i nareszcie, co nadewszystko jest cennym, oddalenie nie dające słyszeć tego ciągłego hurkotu powozów, od którego mieszkańcy miast nieraz pragnęliby się choć na parę godzin uwolnić. Tylko niewiadomo dlaczego Foksal zarystokratyzował od pewnego czasu i nianiek z dziećmi nie wpuszcza. Podobnego rodzaju wyłączenie wcale jest nie na swoim miejscu. Dzieci nasze więcej niż my potrzebują świeżego powietrza, i barbarzyństwem byłoby odmawiać im go; dla przechadzających się zaś widok zabaw tych niewinnych stworzeń miłą stanowi rozrywkę, aniżeli ekshibicya najmodniejszych arcydzieł sztuki szwaczek i krawców naszych.

Otrzymałszy kilka korespondencyj wzywających nas do stawienia przed sąd publiczny kwestyi palenia tytoniu, przeciwko któremu to zwyczajowi korespondenci nasi powstają, oświadczając że jest szkodliwy zdrowiu, a mianowicie kieszeni. Donoszono nam nawet że w niektórych okolicach zawiązały się towarzystwa wstrzemięzliwości tytoniowej i że członkowie ich wzięli sobie za obowiązek przykładem i radą oddziaływać przeciwko temu niszczącemu nałogowi. Wstrzymywaliśmy się z ogłoszeniem tych listów, przekonani że odezwanie się nasze w tej mierze niewiele wpływu wywrze; bo wreszcie, jakkolwiek przesadę w używaniu tytoniu uważamy za szkodliwą, sądzimy iż życie nasze składa się z mnóstwa zbroczeń, z których jedne zastępują miejsce drugich. Kto chce od razu wszystkie wykorzystać, ten najczęściej chybi zupełnie celu. Świeżo jednak otrzymaliśmy od jednego z utalentowanych naszych pisarzy list, który w całości przytaczamy, a czytelnicy niech go sądzą.

Szanowny kronikarzu!

Nagadaliśmy się już do woli ustnie i w druku o potrzebie i błogich skutkach wstrzemięzliwości prostego ludu. Wypadałoby teraz nie więcej jak tylko zamknąć gorzelnie i szynki—i milcząc czekać cierpliwie skutku. Żeby zaś nie próżnować, wartoby zagać inną kwestyą, dotyczącą po większej części nas samych: chcę mówić o paleniu tytoniu. Ile się to sprzeciwia należnej czci bogini Higi, niech tam o tém rozprawiają lekarze; do nas należałoby wyświecić finansową stronę tego nadużycia. Że lud wyrzuca nam wymownie ten zbytek, miałem tego dowód na sobie, i komunikuję panu odebraną lekcją, dla zrobienia z tej relacji należytego kronikarskiego użytku. Przed dwoma miesiącami, pojechawszy do miasteczka po sprawunki, w liczbie innych szczegółów wziąłem kilka funtów tytoniu i kilka pudełek cygar, na zapas domowy. Furman mój, pakując do tłómoka tę masę ziela przeznaczonego na spalenie, zapytał mnie ile to kosztuje. Nie wiedząc do czego to zmierza, odpowiedziałem że sto złotych.

Furman zamyslił się i rzekł nareszcie:

— A ja panie biorę na rok pensyi tylko dwieście złotych, i za to muszę siebie odziać i żonę z dziećmi żywić.

Domawiając tych słów, znacząco pokiwał głową. Wstyd twarz mi zapłonął. Kazałem mu co żywo wyjąć z tłómoka liściowy ładunek i pod niezgrabnie

wymyślonym pozorem odesłałem do sklepu, dając trzecią część zwróconych pieniędzy jako jednorazowe wynagrodzenie mojemu furmanowi. Odtąd nie palę tytoniu....

Od tego czasu zlustrowałem moje rejestra z lat przeszłych i przekonałem się że wydawałem corocznie na tytuń około stu rubli, które pomnożone procentami, w przeciągu lat kilkunastu, stworzyłyby spory kapitał... Podaję do wiadomości publicznej ten wy ciąg z moich domowych rejestrów, oddając pańskiej uwadze, czy nie będzie to odpowiedzią na tylekroć zadawane pytanie, kładź wziąć fundusze na opłatę wiejskich nauczycieli? Znamy przecie wielu ojców, których tytuń i cygara kosztują więcej aniżeli wychowanie własnych dzieci. Kto ma uszy niech słucha... i t. d.

Niestety! wszystko wyrażone w tym liście jest najrzeczywistszą prawdą. Ale opowiem wam jeden fakt, który się wydarzył przed kilku latami, i który posłuży za odpowiedź, czy morały w takich razach poradzić co mogą.

Pewien majątny tutejszy kapitalista, czując się coraz bardziej zapadającym na zdrowiu, wyjechał za granicę dla poradzenia się tamecznych doktorów. Przybywszy do Berlina, udał się do najslawniejszego tam lekarza i opowiedział mu całą swoją słabość.

— Pan możesz być jeszcze zdrów, odpowiedział, wyegzaminowawszy dokładnie chorego, ale pamiętaj że najbawienniejsze leki nic nie pomogą, jeżeli nie zastosujesz do nich sposobu życia. Sposób życia wszystko znaczy. Zalecam więc panu przedewszystkiem trzy rzeczy: powinieneś zaprzestać palenia tytoniu, strzedz się zbyt smacznie przyrządzonych potraw i kłaść się spać o dziesiątej wieczorem.

— Szanowny panie, odpowiedział chory, ja po to właśnie tu przybyłem i chcę panu dobrze zapłacić za kuracyą, żebym mógł palić tytuń, dobrze jeść i bawić się jak dawniej. W przeciwnym razie lepsza słabość od kuracyi.

Z wielu to niedostatków pragniemy wyleczyć się tymże samym sposobem co ów kapitalista..

— Już od sześćdziesięciu lat truję się kawą, mówił Wolter, i czuję że się mocno zestarzał. Jeżeli jeszcze przez kilkanaście lat będę używał tej trucizny, to gotówem umrzeć.

Rzuciwszy naszą garść grochu o ścianę, przejdźmy do innego przedmiotu.

Czytaliśmy w tych dniach ogłoszenie o przyjęciu do skutku bardzo pożądanego przedsięwzięcia. Pan Kraszewski zapowiedział wydawnictwo *Przeglądu Europejskiego*, pisma wychodzącego w poszytach miesięcznych, począwszy od 4 lipca r. b. Przegląd ten będzie streszczał w sobie ruch literacki, krytyczny, artystyczny, naukowy, tak krajowy jak i zagraniczny. Przegląd Europejski zamierza zapelnąć brak jaki u nas dawno czuć się dawał, brak wiadomości o wszystkim co wychodzi za granicą godnego uwagi. Nawet i tym dla których literatura obca jest przystępną, trafny, umiejętny wybór oszczędzi czasu trawicznego nieraz próżno na rozróżnianiu zdrowych pokarmów umysłowych od bezużytecznych i szkodliwych. Trudne zaiste zadanie, ale i siły są po temu. Długoletnie zasługi literackie przyszłego redaktora *Przeglądu Europejskiego*, stawiają go w możności godnego odpowiedzenia życzeniom ogółu, a żelazna jego praca nie uleknę się trudu, przed którym kto inny możeby się cofnął. Prospekt wiele zapowiada i wierzymy że dotrzyma. Dział krytyczny może i powinien obszernie znaleźć pomieszczenie w piśmie tego rodzaju: tam właśnie dla niego miejsce właściwe. Szczerze życzymy powodzenia nowemu towarzysowi, który pod tak pięknymi wróżbami przybycie swoje zapowiada.

Wyszło z druku tłumaczenie Kroniki słowiańskiej Helmdolda, przez p. J. Papłońskiego. Jako objaśnienie do tego ważnego dzieła p. Papłoński ułożył mapę Słowiańszczyzny lechickiej z wieku X—XII i Prus z wieku X—XIII, która się osobno sprzedaje. Kronika Helmdolda z wielu względów ważną jest dla nas. Opisuje ona czasy i ludzi nieznanych nam prawie, a tak blisko nas dotyczących. Jest to Illiada, w której miejsce Trojan zajmują pobratymcy nasi, Słowianie nadbaltyccy. Helmdold, chociaż Niemiec, pisał bezstronnie, pisał o rzeczach na które sam patrzył, albo które w świętej miał pamięci; w opowiadaniu więc jego znajdujemy wiele drogocennych wiadomości o obyczajach i zwyczajach ojców naszych. Nie licząc już faktów z wielką dokładnością spisanych, niejedną się tam znajdzie skarby i dla poety, skarby tém szacowniejszy, że dotąd w ukryciu leżał. Niestety! z całej tej przestrzeni dziejowej śladów narodowych niema prawie; z obcych czerpać musimy źródła. Dobrze więc i umiejętnie tych źródeł przyswojenie niemałym jest dla nas pożytkiem.

OBRAZY Z CZARNOGÓRZA I JEGO POBRZEŻY.

(Dokończenie.)

Wspomnieliśmy tylko co o malowniczości strojów bogatszych Czarnogórców. Istotnie ubiór ten należy do najpiękniejszych noszonych w Europie i da się porównać tylko ze strojem Albańczyków lub Greków, których tak zdobią ich bogato fałdowane, białe, od pasa do kolan spadające tuniki. U Czarnogórców miejsce tunik zastępują również białe i krótkie, z białego sukna sukmanki (*guna*), krojem nasze krakowskie przypominające. Śnieżna białosc ich pól i rękawów pięknie odbija od różnobarwności reszty stroju: od buchato do kolan spadających niebieskich spodni, bogato wyszywanęj, na krzyż zapinanęj kamizelki i jeszcze bogatszego, również bez rękawów zrobionego kaftana (*jaczerma*), który u senatorów z czerwonego bywa aksamitu. Szyja pozostaje zupełnie odkryta. Głowę pokrywa niska okrągła czapeczka (*kapa*), czarna

biona, które z powodu swęj sztywności dość źle harmoniują z lekkością reszty stroju. Lepiej podobno byłoby zrobić, gdyby wprowadzając do swęj gwardyi strzelby z bagnetami, dał początek do upowszechnienia tęj broni w Czarnogórze, gdzie dotąd nikt tęj nie używa. Wprawdzie długie staroświeckie strzelby w rękę od dzieciństwa obeznanych z niemi właścicieli pełnią wybornie swęj obowiązek, gdy chodzi o rażenie nieprzyjaciela zdaleka; ale w razie starcia ręcznego z terażniejszym regularnym wojskiem tureckim, krótkie szable dość słabą przeciw bagnetom są bronią. Zapał, rzutkość i poświęcenie Czarnogórców odnoszą wprawdzie i w tych spotkaniach zwykle zwycięstwo; ale zwycięstwa byłyby bez porównania tańszym okupowane kosztem, gdyby broń stron walczących równiejszą się stała.

Nie potrzebujemy dodawać, że ów ideał czarnogórskiego stroju, jakimy powyżęj opisali, skromniejsze stopniowo u mniejszęj zamożności osób, aż wreszcie u najbiedniejszych ogranicza się do koszuli, spodni, opanek i czapki, na co od zimna i dęszcu zarzuca

naczelnika mieszkaniem, klasztor ten pozostał zawsze głównym krajowego życia ogniskiem. W nim znajdują się kancelarya i mieszkania niektórych urzędników książęcych, archiwum krajowe (wybornie w jednęj szafie się mieszczące), arsenał i fabryka ładunków. W nim także jedyna na kraj cały, bardzo skąpo nawiedzana szkoła, w której, pod kierunkiem miejscowych mnichów, kształcą się jak mogą przyszli popowie i dziacy dla Czarnogórze. Niegdyś, za życia ostatniego duchownego władcy, Piotra Petrowicza Niegosza, istniała tu jeszcze i drukarnia, w której władca drukował swoje poetyczne utwory; lecz kiedyś, gdy w naglęj potrzebie zabrakło ołowiu, czcionki przełano na kule, i odtąd skończyło się z publicystyką w Cetyńju.

Mieszkanie terażniejszego księcia leży tuż koło klasztoru, otoczone czworogrannym, na rogach niskimi basztami utwierdzonym murem. Jest to dom dość obszerny, o jedném piętze i jak można najprostszęj struktury. Niemniejsz w środku jego panuje *comfort* i świetność, wcale z tradycjami czarnogór-



JEZIORO SKADARSKIE, Z WIDOKIEM NA CZARNOGÓRZE.

całkiem, lub jeśli czerwona, to tak czarną łaśmą obszyta, że tylko wierzch sam się czerwieni; jasny bowiem kolor zbyt łatwo dawałby spozstrzedz wystającą w boju po nad skały głowę i zanadto dogodnym dla nieprzyjaciela stawałby się celem. Nogi od kolan do stóp okrywają wyszywane i na haftki opięte kamasze; stopa zaś sama rzadko w trzewik, popospoliej ujęła w rodzaj skórzanych sandałów, nasze postole, kierpce i kurpie nasładujących, *opankami* zwanych. Za szerokim, kilkakroć obwinionym pasem, sterzącą bogato oprawnę, długie pistolety i na lokieć zaledwie długa tak zwana turecka szabla. Zawieszony na barkach, podszyty futrem dolman (*dziube*) i wysokością prawie człowiekowi dorównywająca strzelba w rękę, dopełniają wielkiego ubrania czarnogórskiego *junaka*.

Strój ten w całej, może nawet nieco przybytkowej świetności, rozwinął ksiąę Daniel, tworząc sobie pod nazwą *Perjaników* rodzaj gwardyi przybożnej. Szkoda tylko że im na głowy włożył wysokie futrzane kołpaki, kitą z piór i kordonami hojnie ozd-

się wielka wełniana chuśta: *struka*, do pledu szkockich górali podobna. I u najbiedniejszego jednak Czarnogórcza nie jest osobliwością napotkać wyborną damascęńską klingę, bogato srebrem ozdobne pistolety i strzelby. Są to lupy bądź przez samego właściciela, bądź przez jego przodka na Turkach zdobyte, które z religijnym przechowują się w rodzinie szacunkiem.

Ale wróćmy do Cetyńja.

Staroświecki, rozległy i ponury klasztor cetyński, od czasów zsekularyzowania władzy uległ w powierzchowności swęj jednęj charakterystycznęj zmianie. Krwawe głowy tureckie, w które niegdyś strojono jedną z sterczących przy nim wież, znikły z tamtąd od jakich lat dziesiątka. Księżna Dariaka, żona Daniela, (córka bogatego serbskiego kupca z Tryestu) nie mogła znieść tego widoku, który ją witał co rano za piérwszým z okna na świat wejrzeniem i otrzymała od wszechwładnego naonczas małżonka zniesienie dawnego zwyczaju, którego, pomimo całej starożytności i charakterystyczności jego, trudno żebyśmy załować mieli. Zresztą, jakkolwiek nie jest już teraz

skiemie nie zgodna: obicia, dywany, zwierciadła, obrazy, fortepiany i meble kosztowne. Ksiąę Daniel niczego nie żałował, ażeby uczynić swęj lubęj przyjemnym pobyt w dzikich jego górach. Nam się jednak zdaje, że jak usunięciem władzy z rąk duchownych, gdzie ją otaczały powszechny szacunek i miłość, podał ją ludzkim zawiściom i intrygom, a tэм samém osłabił, tak i wprowadzeniem europejskich do rezydencyi swęj wygódek, złą wyświadczył ludowi przysługę. Widok zbytku, budzi zbytku pragnienie; a tylko rozmiłowanie się w swobodnej nędzy, jako w świętém ojców dziedzictwie, jest jedyną rzeczywistą gwarancją niepodległości Czarnogórze.

Dotąd wszakże, jeśli ktoś z podróżników dozna niemiłego zawodu, spotykając się z akcesoryami cywilizacyi zachodniejsz w zakácie gdzie ich najmniejsz oczekiwał, dość mu opuścić Cetyńję, ażeby się spotkać z całą tradycyjną, surową, aż do dzikości prawie posuniętą prostotą.

Jak już wspomnieliśmy, wsie czarnogórskie zwykle składają się z chat nieregularnie poprzyczepianych

na dostępniejszych bokach i urwiskach gór. Nic prostszego nad te chaty, budowane z kamienia na mech lub glinę i również kamiennym otoczone murem. Jedne w nich tylko drzwi, a niekiedy kilkakrotnie strzelniceważkich w ścianach, natomiast, niema zaś ani okien, ani komina. Dym płonącego w środku ogniska napędza je całe, jak może usiłując się wydostać przez drzwi i dachu szczeliny. Sprzęty odpowiadają powierzchni mieszkani. Składają się one z grubociosanego stołu i ław, z szerokiego łoża podobnej roboty, z kilku skrzyń napomieszczenie ubrania, beczki z kapustą i kolébki, jeżeli dzieci małe jest w domu. Kilka jaskrawych bohomasów, oświetlonych lampą, spogląda przez dym ze ściany, przy której na półkach stoją kuchenne naczynia. Główną ozdobą mieszkania jest kilka lśniących łuf i kling broni, z amatorską utrzymywanych czystością i dlatego lśniących od ogniska, podług pięknego wyrażenia Tegnera.

szkalnej części oddzielona, mieści się stajenka i obórka razem, drobnemu konikowi lub równie drobnemu bydelku za schronienie służąca.

szczy jakis, spartański nadały kierunek. Najbliżsi krewni, syn ojca, ojciec syna, brat brata, wstydziliby się oplakiwać tak lub żałować, jak my naszych blizkich żałujemy.

Czarnogórzec żałuje swego krewnego, zmarłego śmiercią z choroby, nie dlatego że go stracił, lecz że skończył niechlubnym, jak kobieta, zgonem; po poległym zaś ma jeden sposób żalu: pomścić się za niego.

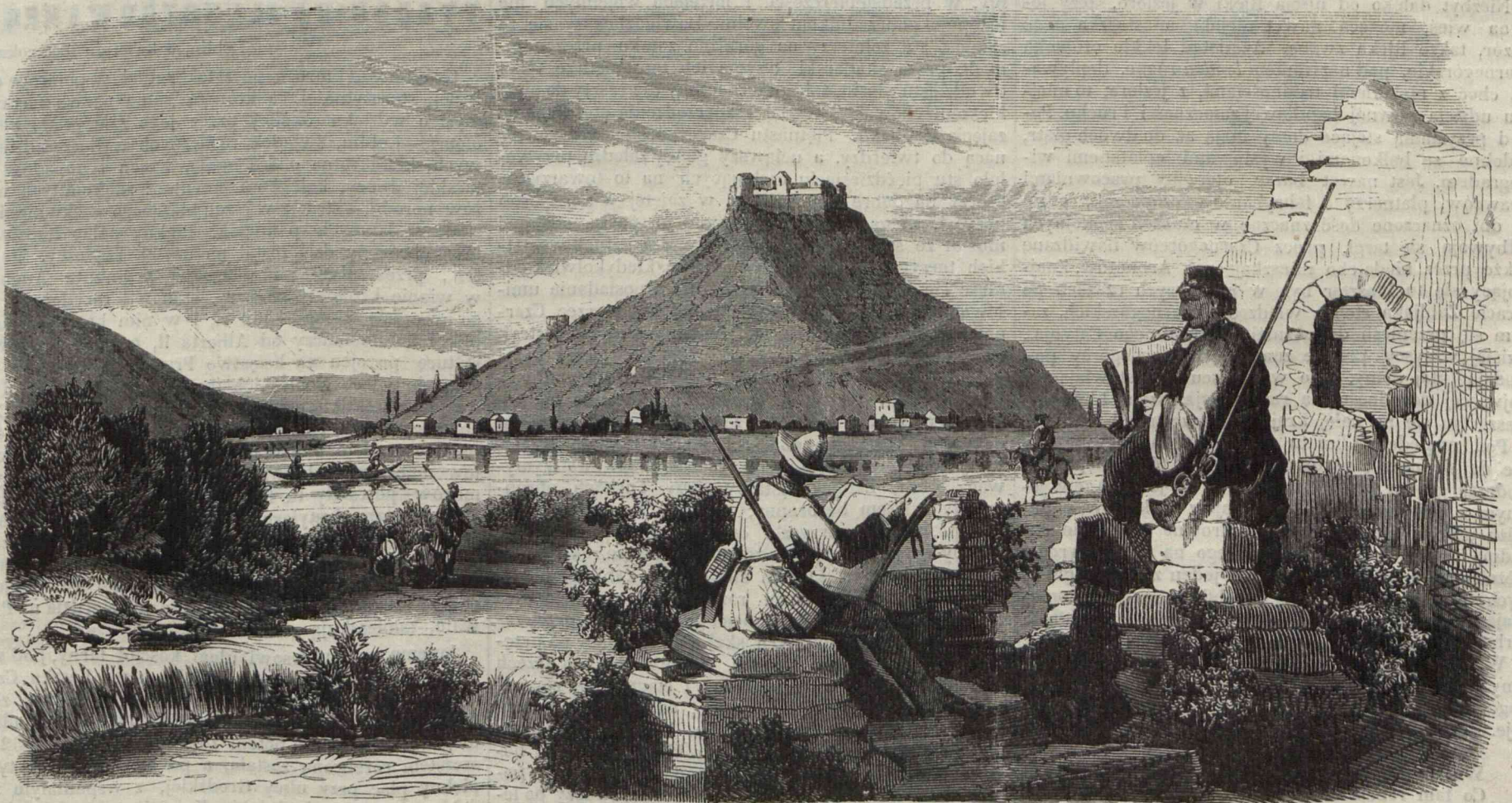
Stosunek pomiędzy mężczyzną i kobietą nie przyjął tu także dotąd tych serdeczniejszych form, jakie u cywilizowanych przybrał ludów. Prawda że właściwe męznym poczucie zjednało kobietom u Czarnogórców pewien szacunek dla ich słabości; że hańbą byłoby na przykład strzelać na drogę którą kobieta postępuje, chociażby za nią nie przyja ci el



WALKA CZARNOGÓRCÓW Z TURKAMI.

W rodzinach podobne zamieszkujących schronienia trudno spodziewać się wyrobienia delikatnych obyczajów i uczuć. To też obyczaje i uczucia Czarnogórców twarde i szorstkie są w ogólności. W mężczy-

się podsuwał; że zniesławionym byłby mężczyzna w jakimkolwiek sposób ją krzywdzący, niebroniący jej od krzywdy, lub za wyrządzoną przez innego pomścić się zaniebując;—ale z drugiej strony za niemniejszy pe-



TWIERDZA ŻABLJAK NAD JEZIOREM SKADARSKIM.

„Jak smugi gwiazd spadających nocą po błękitnym niebie...“
W przedłużeniu chaty, częstokroć zaledwie od mie-

znach zamilowanie niepodległości, żądza walki i stania się bohaterami, zdaje się jak gdyby jedne wrodzone popędy całkiem strawiły, drugim zaś szczególnie-

wnie wstyd poczytywałby sobie każdy młodzieniec tutejszy, gdyby upodobawszy dziewczynę, zalecać się jej starał i pozyskiwać jej serce. W małżeństwie,

układaném zazwyczaj nie przez samych młodych, lecz często bez ich nawet wiedzy przez zobopólne rodziny, żona staje się nietylę towarzyszką, ile gospodynią, pierwszą sługą męża, matką i karmicielką dzieci jego. Nie wolno jej siąść przy stole, przy którym bądź mąż jej, bądź jakikolwiek posila się mężczyzna, lecz musi czekać końca jego obiadu, ażeby skromnie z resztek pożywić się sama. Najlepszym dowodem upośledzenia kobiet czarnogórskich jest pokora, z jaką pierwszego lepszego spotkanego rodaka pozdrawiają i całują mu ręce. Cóż to za przeciwny i przykry dla wykształconego Europejczyka widok! Niemniej przykro jest widzieć te biedne kobiety, obciążone ile siły ich podobać mogą, przebywające po kilka mil trudne górskie ścieżki, podczas gdy towarzyszący im pieszo lub konno mężczyźni żadnego prócz broni nie mają ciężaru. Wszystkie kłopoty i prace około domu wyłącznie na kobiety polegają barkach. Jednym słowem położenie ich jest równie przykre jak ciężkie i widoczny też wpływ wywiera na ich powierzchowność całą. Już młodą dziewczynką, Czarnogórka, zamiast uśmiechu, ma jakąś smutną powagę na twarzy; po pójściu zaś za mąż uciążliwa praca wprędce zacięra wszystkie wdzięków dziewiczych ślady.

Czarnogórzec sam, prócz boju i polowania, które mu są najmilszymi zajęciami, zatrudnia się tylko takimi pracami, które nieodzownie silnego męskiego potrzebują ramienia, jako to: uprawą ziemi, ciesielką, obrabianiem kamieni, stawianiem z nich budynków i t. p. Najcięższą z prac tych jest niezawodnie uprawa gruntu, który nietylko z powodu kamienistości i nierówności wymaga wiele znoju, lecz do tego porzucany małymi szmatami leży wśród gór, tak iż nieraz pięciu podobnych dolinek potrzebaby na złożenie jednej morgi naszej. Zresztą, pomimo najstaranniejszej uprawy, wydaje plon tak skąpy i tak często zawodzi, że gdyby nie hodowla owiec, która dość się udaje, połowa mieszkańców Czarnogórza z głoduby wymrzeć musiała. Posępny ten gość i tak jednak nieraz puka na przednówiu do chat czarnogórskich; nie dziwnym się, że chaty te tak smutne są i nędzne.

Wyjątek pod tym względem stanowią niektóre okolice, położone w dolinie głównej rzeki Moraczy, lub dwóch pomniejszych rzeczek Zety i Rjeki czernojewickiej, z których pierwsza przez pośrednictwo Moraczy, druga wprost z skadarskim jeziorem się łączy. Tu, w skutek urodzajniejszego gruntu i pomocy jaką rybołówstwo do utrzymania życia nastęrcza, zamożność panuje większa, mieszkańcy są obzerniejsze i czystsze, a wieś, skutkiem zabudowania domostw w ulice, gościnniejszy przedstawiają widok.

Niezbyt daleko od ujścia Rjeki w jezioro, leży jedyna wieś, mogąca nawet niejaki miasteczka mieć pozór, także Rjeka zwana. Aż dotąd lekkie czółenka czarnogórskie, pod nazwianiem *londra* znane, dopływają, choć z niejakimi trudnościami, z jeziora; to miejscu udziela pewnej handlowej zamożności i ruchu. Ponad przystanią stojące domy mają aż do dwóch pięter, ozdobne są balkonami i wystawami opłatanymi winogradem. Jest nawet bazar, otoczony pracownikami krawców, płatnerzy i fabrykantów czapeczek, gdzie w dni oznaczone dość znaczne w czasach spokojnych odbywają się targi, prócz Czarnogórców nawidzane także przez niedaleko mieszkających Arnautów. Znajdujący się tu klasztor był w pierwszych czasach po stracie Żabljaka stolicą władców czarnogórskich, zanim się przenieśli do później zbudowanego Cetynja. Dzisiaj wszyscy prawie znaczniejsi Czarnogórcy posiadają tutaj domy, jako w miejscu przedstawiającem najwięcej dogodności, a razem najmilszym klimatem cieszącem się na całej kraju ich przestrzeni.

Pod względem klimatu okolica skadarskiego jeziora nie da się nawet porównać z resztą tej dzikiej ziemi. Podczas gdy w głębi Czarnogórza zdaje ci się że w jednym z północy blizkich znajdujesz się krajów, w pobliżu jeziora czujesz znowu czarowne technienie południa i widzisz błogi wpływ jego na całą przyrodę. Różnicę tę uchwycił i rozwinął jeden z poetów gminnych, w których ziemia ta tak obfituje, w pieśni opiewającej zaślubiny stynnego w dziejach i legendach serbskich króla Wukaszyna.

W liście pisanym ze Skadru, rezydencji swojej, do żony wojewody Momczyła, na drugim dzisiejszego Czarnogórza mieszkającej końcu, król ten tak się rozpisuje.

Widosawo! żono Momczyłowa!
Co tam robisz wśród lodów i śniegów?
Pogłdniesz-li z grodu twego w górę—
Nic pięknego nie ujrzy twe oko,
Jeno białą górę Durmitora,
Wiecznie śniegiem i lodem okrytą,
Wpółśród lata równie jak i w zimie.
Pogłdniesz-li z grodu twego na dół—

Tam zmacona płynie rzeka Tara,
Rwąc nadbrzeżne drzewa i kamienie,
Na niej z niskąd ni mostu, ni łodzi.

Wiész co? otruj wojewodę Momczyła!
Albo otruj, albo mnie go wydadaj,
Sama zaś przyjdź do mnie na Przymorze,
Do białego Skadru nad Bojaną.
Tu cię pojme za małżonkę wierną,
Królową się będziesz, panią zwała,
W aksamitach, w drogich złotogłowach,
W szczerolotych chodź będziesz strojach;
Prząść jedwabie na złote wrzeciona,
Prząść jedwabie, na jedwabiach siadać.

A cudnyż to Skadr ten nad Bojaną!
Kędy spojrzysz z grodu mego w górę,
Na pagórkach figi i oliwy,
I roskosne widzisz winogrady.
Pogłdniesz-li z grodu swego na dół—
Tam dojrzewa bieluchna pszenica,
Przy niej łąka zalega zielona,
Środkiem ciecze zielona Bojana,
W niej pływają ryby przerozliczne...
Jeść je możesz kiedy zechcesz sama."

Jeziro skadarskie poczyna się dopiéro o dobrą godzinę poniżej Rjeki. Brzegi Czarnogórza obejmują tylko maleńki, zwężający się jego kącik; zresztą posiadają je Turcy. W tychże ręku zostają dwie małe wyspy: Wranina i Lesendria, ujścia Rjeki i Moraczy zamkające, które, po wielekroć wydzierając je sobie naprzemian, obie strony krwią oblały. Czarnogórcy posiadali je po raz ostatni od 1832 do 1843 r. Był to dla nich złoty czas awanturycznych wypraw na położony w drugim końcu jeziora bogaty Skadar i porbrzeżne wsie tureckie. Aż strudzeni tą niszczącą wojną Turcy zdobyli się w końcu na energią. Osman-paszą, niespodzianie uderzywszy na obie wyspy, nie dbałe umocnione i obsadzone, zajął je, wypędził mieszkańców, a sam pod osłoną kilku kanonierskich łodzi ufortyfikował je tak, że odtąd górale z zawiścią na nie tylko śmiały spoglądać.

Podobnie jak te dwie wyspy wydzieraniem sobie nieraz, a teraz w posiadaniu Turków zostającym stanowiskiem, jest ów sławny w pieśniach Żabljak, zbudowany na pochyłości wysuniętego w jezioro pagórka, którego szczyt wieńczy warowny zamek. Dawna ta stolica Iwana Czernojewicza była polem, na którym nieboszczyk Daniel, po objęciu przez się władzy w r. 1852, postanowił dowieść, że choć mały i szczupły, w przedsiębiorczości i fortelach wojennych nie ustępuje poprzednikom swym. Dowiedziawszy się że zamiast stu żołnierzy na garnizon zamku przeznaczonych, pasza skadarski trzyma ich tam mądrze tylko dwudziestu pięciu, zółd przeznaczony dla reszty do swęj kieszeni chowając, wydał rozporządzenia stosowne do zajęcia Żabljaku. Piętnastu Czarnogórców wdarło się nocą do twierdzy, a uciawszy głowy załodze, przywołało stu pięćdziesięciu czekających na to towarzyszy, którzy na dobre umocnili się w zajętej w ten sposób pozycji. Kuszający się o odebranie jej pasza, odstąpić musiał ze stratą trzystu żołnierzy. Jak jednak wszystkich terytoryalnych korzyści, jakie kiedykolwiek odnieść się im udało, tak i tym razem posiadania umiłowanego przez się miasta musiel się wyrzec Czarnogórcy, w skutek nalegań dyplomatycznych Austrii. Po zajęciu go nanowo przez Turków, pasza kazał przebudować zamek, podług nowych wymagań wojennej sztuki, tak iż ze starego nic prawie nie zostało. Przekonani jesteśmy, że zacny ów Muzułmanin napróżno koszt ten ponosił. Dopóki względy dyplomatyczne obowiązuja rząd czarnogórski wstrzymywał górali, Żabljak zostałby przy Turkach, obronny czy całkiem bezbronny; w razie zaś gdyby księciu osiąść go przyszła ochota, niedługo czekając, miałby go przemocą lub zdradą w swém ręku.

Ze wzgórze, na którym stoi zamek Żabljak, prawdziwie uroczą panoramą roztacza się na zielonawe zwierciadło jeziora, na otaczające go zewsząd nieprzejrzane kopce różnokształtnych skał i na biejące po przeciwnym jego końcu Skadar. Jezioro jest do trzech mil długie, około mili szerokie, i ciągnie się równo odlegle prawie od brzegu morza, oddzielone od niego blisko trzydzieloma pasem. Nadmiar wód przelewa się z jeziora w morze szerokim korytem, noszącem nazwę Bojary. Miasto Skadar—czyli jak je powszechnie na mappach nazywają *Scuttari*—leży po lewej czyli albańskiej stronie tej pięknej, choć bardzo krótki bieg mającej rzeki; po prawej zaś jej stronie, w czworoboku morzem, rzeką, jeziorem i granicą czarnogórską objętym, znajdują się dwa portowe miasta: Bar czyli *Antivari* i Ulczyna czyli *Dulcigno*. Posiadanie tego niewielkiego terytoryum jest złotym

snem Czarnogórców, i gdyby z samymi Turkami była sprawa, z pewnością o zajęcie jego jużby się pokusili. Nieszczęściem względy na inne państwa, nie naruszalności cesarstwa ottomańskiego strzegące z troskliwością lepszej godną sprawy, zmuszają dzielnych górali trzymać ręce przy sobie i spoglądać z westchnieniem z gór swych na tak niedalekie, a przecież dla nich niedostępne morze.

Dzisiaj ostatnim Czarnogórczan od strony jeziora posterunkiem, jest obwarowana wieś Dodosz, naprzeciw Żabljaku, łożyskiem jakiegoś potoku od niego oddzielona. Osady obu tych granicznych stanowisk spoglądają na siebie z wieczną nieufnością i nienawiścią, jak dwa pająki pozrzedzić się nawzajem pragnące. I tu wszakże dyplomatyczne względy zmuszają przełożonych do trzymania w surowej neutralności swych komend. Mimo to niemniej okolica jeziora, jak w ogólności całe pogranicze czarnogórsko-tureckie, rozlega się powiedzieć można bezustannym hukiem pistoletów i strzelb, nie na sąsiedzkie wystrzelanych wiaty. W braku wojny politycznej, mieszkańcy obustronni wiodą na swą rękę małą, cząstkową, prywatną wojnę. Dziś Czarnogórcy zabrali jakiegoś Turkowi kawał pastwiska lub roli—Turcy ujmują się za swoim; jutro jakaś gromada Turków zrabowała czarnogórskie bydło, a górale odbijają je spieszą. Dziś Czarnogórzec, mając do pomszczenia na Turku swą lub kogoś z swoich krzywdę, zbiera sobie drużynę przyjaciół, z którymi napada na wroga, ażeby go zabić lub mieszkanię jego obrócić w perzynę; jutro Turcy zbierają się odepnieć Czarnogórcem. Czasem te cząstkowe walki przybierają tak obszerne rozmiary, że rządy się w nie wdają i grozi formalna już wojna; najczęściej jednak władze z obu stron patrzą na nie przez szpary, czując że to wieczyste złe położenia, któremu żadna nie zaradzi siła. Tam gdzie dwa tak nieprzyjazne pierwiastki jak podób i niepodległość stoją ciałem o ciałem przy sobie, wszelka zgoda staje się niepodobną, i nagromadzone długą walką nienawiści dopóty przy byle sposobności rozdziierać się będą, aż jedna z stron ostatecznie odniesie zwycięztwo.

Nie potrzebujemy powiadać której ze stron oczekujemy i której życzymy zwycięztwa. Piękne wyrażenie naszego ludu powiada: Boże! pomagaj temu, co ma lepszą sprawę. Tém życzeniem kończym i my naszą pobieżną do Czarnogórza wycieczkę.

KORRESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lublin, w kwietniu 1862 roku.

Gród nasz, którego początek zginął w pomroce odległej starożytności, a którego sama nazwa nasuwa myśl o wdzięku okolicy przez jego założyciela *polubionej*,—Lublin, świadek rozlicznych wydarzeń dziejowych, kilkakrotna ofiara ognia, wojen i napadów tatarskiej dzicy, kolébka i cmentarz znakomitych mężów narodu,—stracił w ciągu bieżącego wieku niemal śladów dawnych pamiątek. Piękny pałac Radziwiłłów obrócony dziś został na użytek rządowy. Pałac ten, przeszedłszy na własność Zygmunta Augusta w wianie królowej Barbary, stanowiąc rezydencją jego w czasie sejmu 1569 r., i w nim król nasz odbierał hold lenniczy od Alberta II, nadając mu inwestyturę po ojcu na księstwo Pruss królewskich. Na ruinach pałacu Sobieskich (potem Radziwiłłów) od lat dwudziestu kilku młyn stoi. Z pałacu Tarłów na Czechówce, tuż za ogrodem miejskim, właściciel urządził parterowy dom mieszkalny. Dziesięć dawnych kościołów inne otrzymało przeznaczenie. Z ich poświęconych murów powstały tu fabryka świec i mydła (franciszkanie), tam dystalarnia wódek i browar (reformaci), owdzie gmach magistratu (karmelici bosci), koszary wojskowe (dominikanie obserwanci), lub prywatne siedziby, między którymi dawny kościół św. Wojciecha z klasztorem i szpitalem siostr miłosierdzia na Podwalu, zamieszkuje starozakonni.

Innemu znowu losowi uległ kościół farny, pod wezwaniem św. Michała Archanioła, przez Leszka Czarnego na pamiątkę rozbicia Jadźwingów 1282 r. zbudowany. Świątynia ta, oddawna nachylona do upadku, uległszy zupełnemu potem zniszczeniu, w r. 1852 ze szczerem rozebrana została, a po niej odkrył się tylko piękny plac przy ulicy Grodzkiej, z wspaniałym widokiem na zamek i łąki. Kości i prochy zmarłych, z kościoła tego z wielką uroczystością przeprowadzono wtedy i pogrzebano razem na cmentarzu miejskim.

Tak samo w ostatnich trzech latach rozebrano grożącą zawaleniem bramę i ruiny szpitala św. Ducha. W szpitalu owym dokonał żywota w 1608 r. doktor

parafialny kościół zdezelowany, tylko niewiadomo kiedy i od kogo zbudowany; po wymurowaniu zaś nowego kościoła r. 1754 został rozebrany. Założenie tego nowego kościoła przypisują i Katarzynie ze Sztemberga Sieniawskiej i księstwu Czartoryskim.

Widocznie tu poplątano przedmiot, który z łatwością da się rozwikłać: otóż Katarzyna Anna ze Sztemberga Kostkówna wojewodzianka sandomierska, dziewczeczka na Zinkowie, Satanowie, Szklowie i naówczas podczaszyna koronna Sieniawska, w asystencji swego męża Adama Hieronima (założyciela fary gotyckiej w Międzybożu podolskim r. 1600) w erekcyi wydanej r. 1643 d. 4 sierpnia w Brzeżanach nad rzeką Złotą Lipą, wyraża się: „gdy nic nie masz pewniejszego na świecie nad chwałę Bożą, ku Jego części a zbawieniu bliźnich ten kościół funduję.“ Ta to erekcyja zaoblatowana została w grodzie trembo-welskim r. 1664. Z tego wypływa, że odnosi się ona do kościoła (jak utrzymują niewiadomego początku) będącego w stariej Tarnorudzie w b. województwie podolskim, pow. kamienieckim. Z pewnością zaś twierdzić można, że gdy majątek Sieniawskich r. 1728 przeszedł do wojewody ruskiego, wraz z owdowiałą Dönhoffową Zofią, księstwo Augustostwo Czartoryscy, widząc kościół fundacyi podczaszyny koronnej zniszczonym, stali się fundatorami świątyni dotąd znajdującej się w nowej Tarnorudzie, miasteczku najpewniej powstałym po lewej stronie Zbruczu w zaczątkach XVIII wieku.

Ten to kościół, przedstawiony tu w drzeworycie, po założeniu fundamentów d. 16 maja 1748 r. został ukończony r. 1754 pod godłem dawniejszego N. P. M.

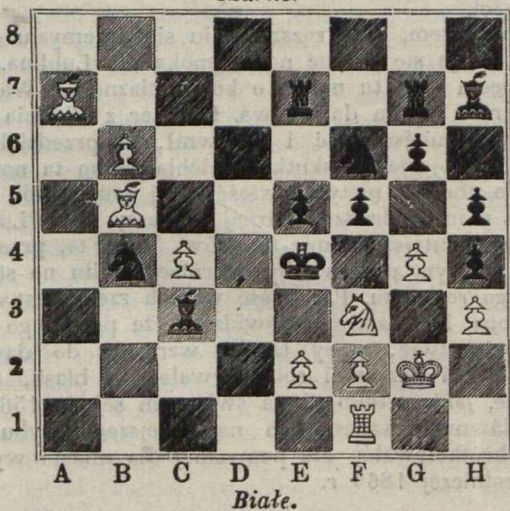
SZACHY.

ZADANIE CVIII.

(przez Michała z Instant.)

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 107.

Białe.

Czarne.

Nr. 1.

- 1) E 2 — D 3 † . . . 1) E 4 — F 3.
- 2) H 2 — G 4 biorą . . . 2) E 5 — E 4.
- 3) D 3 — D 4 † . . . 3) G 3 — E 2.
- 4) D 4 — E 2 biorą † i mat.

Nr. 2.

- 2) E 5 — F 4 biorą.
- 3) E 6 — G 5 † i mat.

Nr. 3.

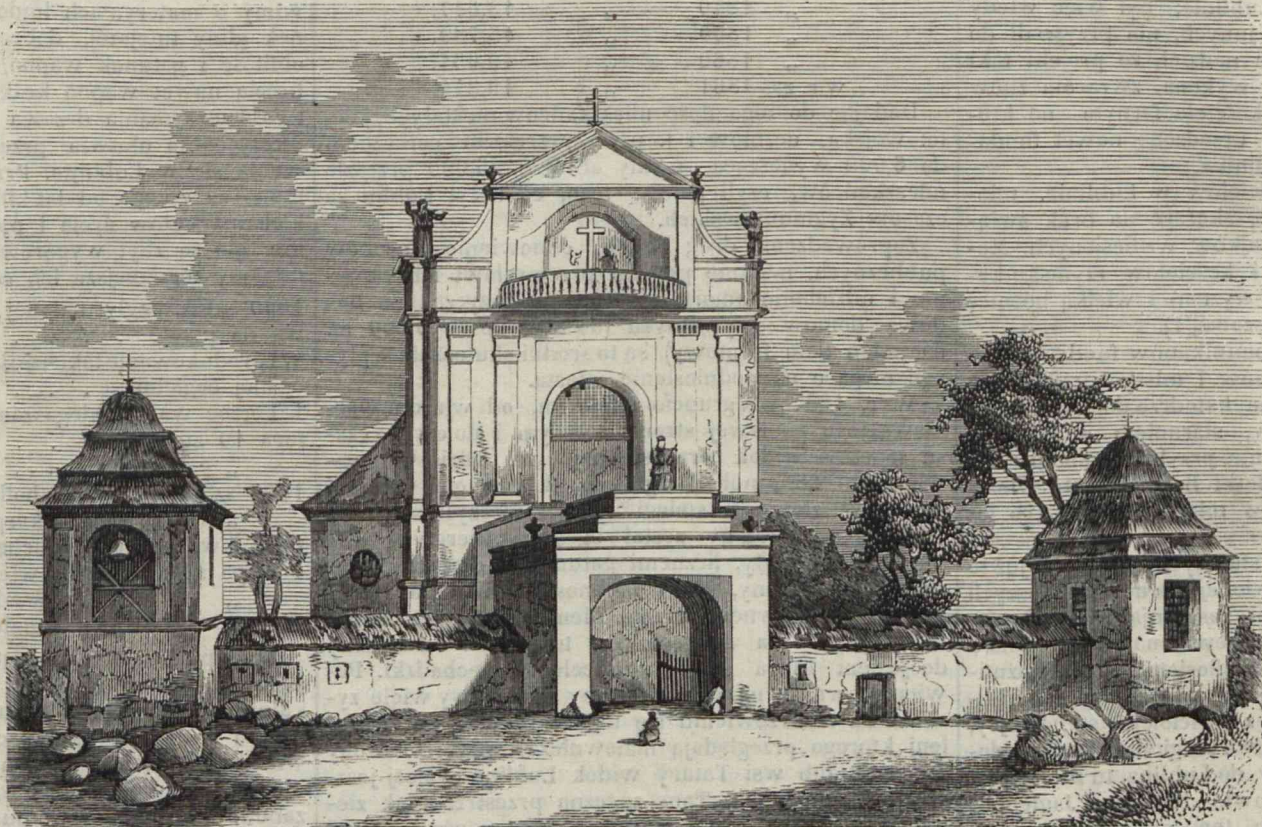
- 2) Koń F 5 jakiebądź [posunięcie].
- 3) D 3 — E 3 biorą † i mat.

Nr. 4.

- 2) G 3 — F 4.
- 3) D 3 — D 5 † . . . 3) E 5 — E 4.
- 4) D 5 — D 4 i mat.

szkaplerznej, a konsekrowany od sufragana kamienieckiego biskupa belineńskiego Adama Orańskiego d. 21 czerwca 1761 r. Tegoż roku obraz Pana Jezusa cudami dotąd słynący, a oddawna znajdujący się u Duninowej Borkowskiej starościny strzygockiej, przechodząc w spadku rodzinnym z domu do domu, od Gorzewskich został tutejszemu kościołowi ofiarowany.

Kościół ów fundacyi książąt Czartoryskich, wznosząc się na wzgórzu, zmurowany jest z kamienia w figurę prostokątną struktury gotyckiej, frontem obrócony na południe; od wschodu i zachodu, dla wzmo-



KOŚCIÓŁ W TARNORUDZIE. (Rysował z litografii Podbielski).

enienia, później przemurowane zostały dwie malutkie kapliczki w miejscu skarp.

Nad kościołem wznosi się kopuła z krzyżem żelaznym i sygnaturką. Facyata kościoła wspaniała w kwadrat podłużny zarysowywa się, a u spodu téjże krata murowana z baryerami. Nad tą facyatą wznosi się z żelazną balustradą ganek, a po obu jej stronach dwie statuy kamienne św. apostołów Piotra i Pawła, z napisem w górze: „*Respice Domine in hanc faciem Ecclesiae tuae.*“ (Spójrz Panie na oblicze świątyni). Wewnątrz facyaty środkowej jest ogródek świeżo urządzony; dalej wyżej gzymsów wznosi się trójkąt z Opatrznością Boską. Sklepienie kościelne popękane z przyczyny silnego trzęsienia ziemi r. 1802 d. 14 sierpnia, czterema ankrami wzmocniono. Cementarz kościelny opasuje mur z dwiema wieżyczkami; w jednej z nich jest dzwonnica, a nad bramą prowadzącą do kościoła wznosi się posąg św. Jana Nepomucena. Gorliwy pracownik w winnicy Pańskiej, ks. Teodor Makowski proboszcz miejscowy, wiele się przyczynił do upiększenia swego kościoła i dotąd w pracy téj nie ustaje.

W wielkim ołtarzu mieści się wizerunek Pana Jezusa łaskami słynącego, w ramach złożonych kwadratowych, zciemniały wiekiem, z rysami zaledwo widocznymi i ramionami jakby rozciągającymi się na obie strony Zbrucza. Nad głową Pana Jezusa korona cierniowa srebrna, miejscami wyzłacana, płaszcz srebrny z zawiązką i z napisem u dołu:

„Lud się do Ciebie w potrzebach ucieka,
Jezu, od Ciebie miłosierdzia czeka!“

Parafia tutejsza składa się z 40 wiosek. Dla nazwisk ich czysto polskich niektóre przytaczam: Zajaczki, Kaniówka, Lipówka, Hreczana, Wygnanka i t. p. Przy pierwszym podziale Polski Tarnobrzeg dostała się Austrii, nowa zaś przeszła pod panowanie Rosyi.

Mamże na zakończenie tego opisu rozpoviedzieć jeszcze o rozlicznych cudach od Boga-człowieka ztąd spływających na nasz naród?

Niel...

Ten co na cudach wyrósł, cudami dojrzewa,
Niech miłosierne cuda w swój duszy dośpiewał!

Bolesław z Ukrainy.

Od jednej z łaskawych czytelniczek naszych odebrałmy następującą odezwę:

Szanowny redaktorze!

W N. 127 Tygodnika Illustrowanego, w kronice tygodniowej, wyczytałam odpowiedź na zarzuty robione kobietom za zbytki, próżność, marnowanie czasu, zaniedbywanie obowiązków, naśladowanie obczyzny i t. p. wady. Pewno że gorzkie to prawdy, ale że uzasadnione, to więcej jak pewno, i nie przyznawać się do winy byłoby grzechem. Dlatego też wyjątek z listu jakiejś damy, przytoczony w kronice, zwrócić mo-

ję uwagę i skłonił mnie do napisania téj odezwy, za pomocą której pragnęłabym trafić do przekonania ogółu kobiet, jeżeli ona ukaże się na widok publiczny. Dama o której wspomniałam pisze tam, tłumacząc niby kobiety i zwalając winę naszego złego postępowania na mężczyzn, że z ich to łaski my jesteśmy próżne, dla przypodobania się im zbytkujemy, dla nich stroim się i zaniedbujemy obowiązków i t. p. Ja najzupełniej tego zdania nie podzielam, bo takie poniżenie się dobrowolne zgrozą mnie przejmuję. Wstydem byłoby dla kobiet, żeby do tego stopnia uznać się miały biernymi, że nawet złe zrobić same przez się nie mogą. Ale tak nie jest. My same winnyśmy wszystkiemu, nas więc niech obwinia w tym względzie opinia publiczna, a nie mężczyźni; sameśmy zgrzeszyły, same też powinnymy powstać z tych grzechów,

a najpierw przyznać się do winy. Przyznanie się do winy o połowę ją zmniejsza, bo czyni nadzieję poprawy; zwalanie zaś téj winy, choćby nawet i z własnym poniżeniem, na kogoś innego, jest tylko wykrętem, żeby pod pokrywką mniemaną jakiejś słabości i bierności, jaknajdłużej pozostać przy zadawnionych błędach, tłumacząc się przed sobą: „my temu nie winne, to winni mężczyźni, oni nas takimi czynili.“ O zgrozo! o wstydzie!—i do tego się przyznawać kobiecie—Polce!... Mężczyźni z ochotą przyjmują na siebie tę winę, dlatego właśnie że są niewinnymi,

(Ob. Dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 136.

To mi dola, dom i las i worek pełen pieniędzy.

(Dodatek).

a takie bezwarunkowe zdanie się na ich kierunek pochlebiamy ich miłości własnej. Ale kobiety, kobiety, czyż się do tego przyznają?!

O gdybym mogła własne ognie przelać
W piersi siostr moich, gdybym mogła strzelać
Grzmiećmi sły do serc, do dusz waszych—
Wnet próżnowanie i próżność i zbytki,
Dawniejszych błędów nieszczęsne zabytki,
Złożywszy na stos z pokorą i skruczą
Przy ogniu świętej miłości i wiary,
Zniszczywszy z gruntu złe nasze przywary,
Wszystkie jak jedna ze świętą otuchą,
Przyśląwszy odtąd nawrócenie szczerę,
Zacząłybyśmy nową dla nas erę!

Głównym złem są według mnie zbytki i próżnowanie, od wykorzenia więc tych przywar zacząć nam potrzeba. Często i teraz się zdarza, że ta lub owa z nas sprawnia sobie po cztery, pięć i więcej sukien czarnych materyalnych, a każda z nich kosztuje paręset złotych. Zbytek taki, w dzisiejszych szczególniejszych czasach, jest nie tylko niedorzecznością, ale grzechem, zbrodnią. Dziś nam najlepiej przystoi suknia wełniana, która nie tylko że mało kosztuje, ale pięknie i nawet wygodnie wygląda; i faldy zgrabnie się układają, i nie robią tego nieznośnego szelestu, którym jedwabna suknia już z trzeciego pokoju zapowiada idącą elegantkę. Zresztą jedwabiem teraz już niepodobna się odznaczyć, każda karczmarza chodzi w jedwabkach. A za cenę tych sukien, ileż dobrego zrodzić można, iu biednych choć na dzień jeden od głodu ustrzedz, iu nieumiejętnych nauczyć, przynajmniej ja naprzykład na zapłatę nauczycieli wiejskich—albo, choćby na zakupienie podarunków dla dzieci, których uczeniem taka dama samaby zająć się powinna!—I czyż nie więcej by to jej samej przyniosło przyjemności, jak błyszcząca i szeleszcząca suknia?

Zdarza się czasem słyszeć mówiące, że jedno drugiemu nie przeszkadza, że przecież można mieć jedwabną suknię, a jednak wspierać biednych, założyć szkołę i t. p. Zapewne że tak być może; ale gdybyś pani, dawszy już biednym pewną sumę i spełniwszy wiele innych miłosiernych uczynków, do tego jeszcze i z jedwabnej sukni zrobiła ofiarę dla miłości bliźniego—biednym przybyłoby przez to pieniędzy, a pani samej zasługi przed Bogiem; a i ludzie zdaje się za złe tegoby nie wzięli, owszem każdy z uszanowaniem poglądałby na wełnianą sukienkę i jej właścicielkę, która w niej pewno piękniejszą się wydała jak w bławatach, bo ta suknia wełniana byłaby godłem jej poświęcenia, dobroczynności, miłości Boga i bliźniego i wielu, wielu cnót jeszcze!... Każda zaś co się zgodzi na wyrzeczenie się jedwabów, jest pewna że czasu swego darmo tracić nie będzie. O! bo też teraz tak szerokie pole do zajęcia dla nas się otwarło! Dawno wprawdzie było ono otwarte, tylkośmy tam iść ani patrzeć nawet nie chcieli. Żle to było, źle bardzo; ale coż robić? już się stało; poprawmy się więc choć teraz. Programem naszych zajęć niech będzie wyjątek z pierwszego lepszego elementarza, zawierający wyliczenie siedmiu uczynków miłosiernych odnoszących się do ciała i tyłu do duszy; wszystkie te uczynki do nas należą. Nieumiejętnych nauczać, wątpiącym dobrze radzić, błądzących napominać i t. d. Do ręcznej zaś pracy dadzą nam dosyć sposobności ci ubodzy włóczący się po wioskach i ulicach miast, w zimie często świecący nagimi ramionami, łokciami i piętami; ci chorzy po szpitalach i chatach wiejskich, niemający nieraz siennika i nakrycia; te biedne dzieci biegające boso po mrozie, i tyle innych nędz dotkliwych na świecie.

Może która powie, że aby tak poświęcić się dla biednych, trzeba być chyba siostrą miłosierdzia i zaniedbać własne ukształcenie. Byłaby to wymówka zupełnie bezzasadna, bo takie czynienie dobrego nie jest przecie zajęciem ciągłym, któreby wszystek czas zabierało. Dwie godziny na uczenie dzieci, godzina na robotę w celu dobroczynnym, toż ledwo piąta część dnia, a dawanie biednym jałmużny, pocieszanie cierpiących, leczenie chorych i t. d., toż zajęcia chwilowe, na które gdy przeciętno dwie także godziny policzymy, to zawsze obrócimy pięć tylko godzin dla drugich, a dziesięć zostanie dla nas samych, do rozrywki, muzyki, rysunków, pisania, czytania i tym podobnych zajęć, także niezmiernie potrzebnych, szczególniejszej czytania. Dziś nie potrzeba nam koniecznie, chcąc nauczyć się czegoś, szukać francuskiej, niemieckiej i angielskiej literatury; w naszym ojczystym języku jest teraz tyle słynnych rzeczy, że nie umiając nawet żadnego innego języka, możemy zaspokoić nasze pragnienie oświecania się. Oprócz dzieł poważnej i nauczającej treści, ileżto teraz jest

czasopism dla wszystkich wieków, klas i stanów, których pocziwe dążności przynieść mogą i powinny ogromne korzyści!

Kupowanie więc książek naukowych i moralnych, choćby nawet najdroższych, trzymanie czasopism polskich, nie uważam za zbytek i marnotrawstwo—owszem, serdecznie namawiam na to wszystkie rodzaczki moje, bo z tego podwójna wyniknie korzyść: korzyść osobista czytającej i podtrzymywanie ojczystego piśmiennictwa, co także jest pewną względem kraju zasługą. E.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

ARCHITEKTURA.

W salach wystawy dość rzadko zdarza nam się spotykać prace architektoniczne, i nic dziwnego: teraźniejszy kierunek architektury, prawie wyłącznie utilitarny, mało nastęrcza dla artystów sposobności do wykonywania takich dzieł, któreby mogły godnie stanąć w miejscu przeznaczonym dla utworów sztuki; studia zaś odrabiane dla nauki samej, nie mają w sobie dość zajęcia dla ogółu, zwłaszcza kiedy staną koło obrazów co swoją dramatyczną treścią i kolorytem same zatrzymują przechodnią i wywołują wrażenie. Dlatego też pilnie śledzimy tych rzadkich gości wystawy i korzystamy ze sposobności jaka się nam zdarza, dla zwrócenia uwagi czytelników na tę sztukę bardzo mało dotychczas dotykałą w pismach krajowych.

W tych dniach oglądaliśmy na wystawie projekt ołtarza z drzewa dębowego i odrzwi przeznaczonych do kościoła oo. bernardynów w Żytomierzu, narysowany przez p. Falkowskiego budowniczego. Tą razą więc mamy do czynienia z przedmiotem czysto artystycznej natury.

Projekt ołtarza, jest to jedno z tych zadań dość często spotykanych w architekturze, gdzie sztuka ta tak blisko łączy się z rzeźbą, iż nieraz traci swój właściwy charakter i przechodzi całkowicie w utwór rzeźby. Dzieje się to wtedy, kiedy kształty ogólne i linie giną wśród mnóstwa ozdobnych szczegółów, zawierających w sobie często symboliczne znaczenie; wtedy kształty architektoniczne: kolumny, gzymsy i t. p., stają się jak gdyby tylko ukrytym szkieletem, podtrzymującym myśl zawartą w rzeźbionych szczegółach, które same przez się stanowią właściwą kompozycją, nie będąc w ścisłym związku z ogólnymi podziałami. Podobne ołtarze bardzo często zdarza się widzieć w stylu renaissance z czasów zepsucia smaku: tam cherubiny i święci pływają w twardej kąpieli z drewnianych obłoków, i nie troszcząc się wcale o ziemskie kształty kolumn i gzymsów tuż obok stojących, pną się do góry, gdzie znów z pomiędzy fantastycznych liści, esów i floresów wychylają się do nich mieszkańcy nieba, a wśród zwojów liści, kwiatów, owoców i ślimacznicy, linie oznaczające kształty ogólne nikną i rozplywają się zupełnie.

Jeżeli przeciwnie w kompozycji ołtarza autor zbytecznie stara się o uwydatnienie kształtów architektonicznych i z klasyczną surowością rozstawia wszystko podług normalnej skali modułów, wtedy i figury świętych umieszczone w ołtarzu są jak gdyby skrupowane i nie na swoich miejscach stojące; wtedy wydaje się że całość nie była odrazu obmyślana, lecz że po ukończeniu części architektonicznej, rzeźbiarz porobił na niej dodatki, które mu trudno było pomieścić.

Jak w jednym tak w drugim wypadku dzieło pozbawionem jest tej jedności i harmonii, które są najpierwszym warunkiem każdego utworu sztuki.

W projekcie ołtarza o którym mowa, widzimy właśnie tę jedność kompozycji: kształty ogólne na pierwszy rzut oka wiążą się w całość i odrysowują się jasno w podziale ołtarza na dwie kondygnacje, rozdzielone czystymi liniami poziomymi gzymsu wspartego na kolumnach w stylu korynckim. Między kolumnami umieszczone są nisze, w których stoją figury świętych. W górnej kondygnacji, znacznie niższej od dolnej, nad kolumnami stoją lekkie pilastry, zastosowane do ogółu kompozycji, a nie należące do żadnego z pięciu porządków. Wierzchołek zwężony essownicami leżącymi, zakończony jest łukowatym frontonem.

Wśród tych ogólnych podziałów rozwinięta jest ornamentacja w ten sposób, że tła gładkie, określone architektonicznymi liniami, wyrzeźbione są w liście, festony i płaskorzeźby, tak iż każdy szczegół staje się nieodłączną częścią całości.

Sposób traktowania ozdób jest umiarkowany, stosowny do stylu utrzymanego wszędzie, na co zwraca-

camy uwagę dlatego, że w podobnej kompozycji autor pilnie czuwać musi nad tem, ażeby mając pole do użycia ozdób, nie popaść w przesadę i nie zarysować zbyt czysto gładkiego tła, na którym oko z przyjemnością spoczywa wśród mnóstwa szczegółów.

Co się tyczy rysunku, w pracy p. Falkowskiego znać rękę pewną siebie; jest czysty, swobodny, bez sztucznego efektowania. Widać że p. Falkowski dużo pracował i zapanował nad techniką rysunku.

Ale rysunek tego rodzaju, gdzie, jako w projekcie, wszystko oznaczonym jest w matematycznym rzucie, nie przedstawia jeszcze dzieła tak, jak ono będzie wyglądać w naturze; prawa perspektywy, zwłaszcza przy dość znacznej wysokości ołtarza, wprowadzą dopiero w ruch całą kombinacją linii płasko rzuconych na elewacji i oznaczonych w planie poziomym; gra światła i cieni rozbudzi w ornamentach to życie, którego nie mogą naśladować czarne linie konturów.

Dlatego też, sądząc dzieło z projektu architektonicznego, zmuszeni jesteśmy kombinować w myśli plan z elewacją i w własnej wyobraźni dopiero widzieć rzecz taką, jaką ona będzie w naturze i jaką była w myśli artysty. Tu właśnie zarzucilibyśmy iż w naturze, gdy ołtarz widziany będzie z dołu, górna kondygnacja jego wydawać się będzie trochę za niską, zwłaszcza że gzyms środkowy zastąpi w perspektywie część atyki nad nim stojącej.

Rozumiemy się że wykonanie techniczne takiego projektu wymaga koniecznie ręki artysty, któryby w ornamentacji umiał zachować wzgląd na oddalenie i stopniowanie światła; sam bowiem projekt, choćby najlepiej obmyślany, nie jest jeszcze wszystkim, jest dopiero myślą, która może albo być podwyższoną, albo zwichniętą w wykonaniu.

W ogóle z projektu p. Falkowskiego wnosić możemy, że wszedł na drogę właściwą; widzimy bowiem iż traktuje sztukę poważnie, nie upędzając się za efektami, któremi łatwo jest olśnić siebie i innych. Puściwszy wodze fantazji w niesfornych kształtach i symbolach, można wywołać wrażenie, można nawet zadziwić, ale nigdy zadowolić tego, kto w dziełach sztuki szuka czegoś więcej nad chwilowe wrażenie. Utwory architektury, bardziej jeszcze niż innych sztuk, potrzebują tego spokoju, który świadczy iż artysta tworzył z zupełną świadomością i prowadził myśl swoją według pewnego harmonijnego rytmu, że fantazja jego od ogólnego obrazu całości przechodziła do szczegółów.

Tu leży właśnie różnica pomiędzy kompozycją a kompilacją; prawda że dziś w architekturze trudno być zupełnie oryginalnym, że motywa znane powtarzają się ciągle; ale sposób używania tych motywów stanowi wielką różnicę: artysta tworzy z nich kompozycją oryginalną jako całość; eklektyk, człowiek nauki a bez talentu, zestawia je jedne obok drugich i tworzy zbiór szczegółów niełączących się w ogół.

Ponieważ w architekturze, przy obecnym jej stanie, trudno nieraz określić wyraźnie co w dziełach tej sztuki jest technieniem talentu, a co nabytkiem nauki, więc też częstokroć jedno bywa braniem za drugie i powstają niewłaściwe sądy o dziełach i artystach; ztąd także wypływa wiele zбочeń w sposobie kształcenia się ludzi poświęcających się tej sztuce. Z książek i ze sztychów można się wielu rzeczy nauczyć; ale jeżeli ktoś siłą talentu ma poczucie kształtów zarysowanych śmiało, szeroko, obejmujących liniami wielkie przestrzenie,—to nie rozwinię dostatecznie swojej fantazji wpatrując się w papier określony czarnymi liniami; wyobraźnia jego zużywać się będzie na odzwierciedlanie w myśli kształtów prawdziwych i zwracać artystę z drogi właściwej, zmuszając go do składania ogółu ze szczegółów przedstawianych w rysunku. Dlatego też radzilibyśmy p. Falkowskiemu, żeby nie porzucił na samém studyowaniu sztychów, zapoznał się naocnie z dziełami mistrzów architektury, z temi prawdziwymi pomnikami sztuki, w obec których talent wzrasta i nabiera śmiałości.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

O kształceniu duszy. Psychologia i filozofia dla kobiet, wyjątek z dzieł Aimé-Martin. Przełożyła Marya B. Wilno 1861 r.

Ciekawy jestem, jaka to zachodzi różnica między psychologią i filozofią dla kobiet, a psychologią i filozofią dla mężczyzn? Pojmuję że można pisać osobno przewodnik higieniczny dla mężczyzn, a osobno dla kobiet, że można im osobno krajać odzież i obuwie; ale żeby dla tych dwóch połów rodzaju ludzkiego, najbrzydszej i najpiękniejszej, miały istnieć osobne systemata nauki, moralności i sztuki,—tego nie pojmuję. Ale drudzy snadź pojmują to lepiej, bo podobne wskazania płci czytającej często spotykamy na

tytułach książek. Mnie się zdaje, że dzieła czerpiące z ogólnego źródła wiedzy nie powinny się pisać ani dla mężczyzn, ani dla kobiet, tylko dla ludzi;—a sposób traktowania rzeczy wskaże sferę, bez względu na pięć czytelników. Często nawet podobna denominacja *a priori* zawodzi; bo kobieta ukształcona, albo nawet chcąca w swoim lub cudzemu przekonaniu uchodzić za wyższą ukształconą, właśnie czytać nie będzie pisma któremu z góry nadano firmę kobietę, uważając je za coś niższego. I będzie w tym pewien rodzaj słuszności, bo dziś, kiedy kobiety stały się nam równymi w obec kodeksu, czemuż nie mają być równymi w obec inteligencji?

Aimé-Martin, autor obecnego wyjątku, w dziele swém rzeczywiście ma na celu głównym kobietę, lecz nie ze strony jej umysłu, tylko ze strony *macierzyństwa*. Widzi on w matce potęgę wielką w zastosowaniu do społeczeństw i ludzkości, chciałby więc tę potęgę wzmocnić i uzacnić wszystkiemi, co tylko z dziedziny dobra człowiek osiągnąć może. Całość więc jego dzieła, z tąż uwagą strony, ma poniekąd cel ściśle zdefiniowany, niby specjalnie odnoszący się do kobiety; ale w wyjątku tym, wziętym samym w sobie, specjalność ta ginie zupełnie; śmiało więc mężczyźni mogą go odczytać, bez obawy posądzenia o najazd na nie swoje terytorium. Ja sam bez skrupułu dopuściłem się tego i nie żałuję wcale, bo rzecz sama z siebie interesująca, a przytém śliczna na język nasz przełożona.

Zdziwić to może kogoś, że psychologia i filozofia dla kobiet, jak opiewa tytuł, może się zawrzeć na stu piętnastu stronicach, kiedy dla mężczyzn napisano sto razy więcej tomów, niż tu jest stronic, a mężczyźni jeszcze nie są ani objaśnieni dostatecznie, ani zadowoleni. Usprawiedliwia się to tem, że w obecnym wyjątku niema filozofii wcale, i nie wiem z kąd ona wzięła się na tytule, a psychologii rzeczywiście cokolwiek jest. Autor stoi raczej na stanowisku moralnym niż racjonalnym; to też zapatrywanie się jego na duszę odchodzi znacznie od scyentyficznej ścisłości. Od czasów Dekarta, który duszę człowieka, dotąd rozdrobnioną na kilka dusz, ściągnął do jedności, jedność jej stała się panującą we wszystkich systematach które nie wyłączały duszy z systematu świata. Pomimo wszakże jedności jej, dusza ludzka, obserwowana w swoich działaniach, ukazuje nam trojakie fenomena, to jest: umysłu, uczucia i woli; te zatem strony duszy ludzkiej, z jakich wypływają te trzy charaktery fenomenów, oczywiście od siebie różne i pod które dadzą się już stanowczo podciągnąć wszystkie fakta jakich dusza ludzka jest przyczyną,—nazwano jej władzami. Otóż autor niniejszej rozprawy przyjmuje ten podział, z tym wszakże wydatnym szczegółem, że zdaje się nadzwyczajną nadawać przewagę uczuciu nad dwiema pozostałymi władzami, mianowicie zaś nad umysłem, bo o woli traktuje bardzo mało, mniej nawet niż wypada na porządnym traktat psychologiczny. Ażeby lepiej objaśnić co to jest dusza ludzka, używa on metody porównania i równa ją do duszy zwierzęcej. Z porównania tego, prowadzonego z kądinąd bardzo metodycznie, wypadło, że dusza ludzka, pod względem umysłu, nie różni się od duszy zwierzęcej niczem, chyba stopniem wyższości czy doskonałości; zachodziłaby tedy z tej strony pomiędzy najdoskonalszym ze zwierząt a człowiekiem taka tylko różnica, jaka zachodzi pomiędzy zwierzęciem mniej zmyslnem i więcej zmyslnem, na przykład pomiędzy muchą a pszczołą, pomiędzy rakiem a argonautą; słowem że człowiek, uważany ze strony umysłu, jest jeszcze zwierzęciem, że umysł jest władzą zwierzęcą.

Ale Aimé-Martin nie jest bynajmniej człowiekiem któryby brata swego chciał w ogóle stawić tak nisko; owszem, wskazuje on mu (jeżeli mu można powiedzieć o kobiecie, którą głównie ma w pracy swjej na celu), wskazuje mu, powiadam, stanowisko tak wysokie, że zaledwie praca życia całego wystarczałaby na jego osiągnięcie, a dążność jego pracy jest wysoko humanitarną i chrześcijańską. Jeżeli zatem umysł, jako władza duszy, jeszcze nie odrywa człowieka od ziemi, to coż go od niej oderwie i wzniesie ku Bogu? Oto wrodzone mu trzy uczucia: uczucie nieskończoności, którego ani czas, ani przestwór zaspo-koić nie mogą; uczucie piękna przez naszą myśl utworzonego, jakiego wzoru nie znajdujemy na ziemi; uczucie moralne, co odpięra wszystkie nasze złe chęci, sumienie co nas potępia albo rozgrzesza. I zdaje się jakoby autor uczucia te umieścił w rozumie wyższym nad potrzeby zwierzęce, w których sferze rozprawia się umysł, niby władza zwierzęca wywodząca się z materji.

Jest w tym wszystkiemi, pomimo prawdziwego gruntu, taki chaotyczny wykład, że czytelnik nieświadomy rzeczy, z trudnością może być na drogę naprowadzo-

nym. Gdyby tu chodziło o odróżnienie człowieka od zwierzęcia i o wykazanie wyższości jednego nad drugim, moglibyśmy sygnąć gradem szczegółów, z których każdy jużby tę wyższość poświadczał. Ale idźmy porządkiem.

Człowiek, pod względem umysłu, ma wspólną ze zwierzęciem percepcją, pamięć, kojarzenie wyobrażeń zachowanych w pamięci i zdolność kombinowania faktów mających na celu utrzymanie i zachowanie życia. Ale człowiekowi prócz tego właściwą jest zdolność abstrakcyi, uogólniania, indukcyi, których nie posiada zwierzę. Wszystko to jest już udziałem tak nazwanego rozumu, który obok tego ma wrodzone pojęcia: nieskończoności, dobra i piękna. Powiadamy wyraźnie: pojęcia, nie zaś, jak autor wyraża się: uczucia, bo uczucia są tylko poparciem rozumu, jego siłą zbrojną. Nie można więc uczuć wprowadzać w sferę umysłu, do której należy rozum. Każdy wie to sam w sobie, że pojęcie nieskończoności, dobra i piękna powstaje w rozumie, w myśli; ale niemniej i to jest prawdą, że pojęcia te mają też i odpowiednie sobie oznaki w sferze uczucia. Skoro zatem umysł ludzki posiada takie pojęcia, które są zgoła obce zwierzęciu, nie można twierdzić że umysł jest stroną człowieka zwierzęcą, że tą stroną on się od zwierząt nie odróżnia; owszem, różnica ta jest tak wielką, że nie jest ona tylko różnicą stopnia, ale różnicą natury samej, bo polega na nowych, właściwych sobie tylko żywiołach. Owoż prawdą jest, jak powiada autor, że wiedza nieskończoności, dobra i piękna, stanowi różnicę i wyższość natury ludzkiej od zwierzęcej, lecz nie tylko jako uczucie, ale jako pojęcie, i przedewszystkiemi jako pojęcie, które ponieważ leży w umyśle, jako jednej z władz duszy, więc dusza ludzka i z tej strony jest istotą samodzielną *sui generis*, wyższą nad wszystko co jest w naturze.

Ze strony uczucia, człowiek ulega, równie jak każda istota żyjąca, instynktom i skłonnościom naturalnym, z tą znowu różnicą, że on z zdolnością zwaną *zyczeniem*, opartą na refleksji i imaginacji, występuje poza zakres istotnej, prawnej potrzeby, wskazywanej przez instynkt i skłonność naturalną; z kąd skłonność przeistacza się w namiętność, która jest niczem innym, tylko życzeniem wygórowanem, rozsadzającym sferę zwyczajnego uczucia. Zwierzę, które nie ma imaginacji, ale tylko prostą zdolność przechowywania wrażeń, nie ma też i zyczeń; nie mając zyczeń tylko same potrzeby, nie ma też samą namiętności. Nie wiem zatem z kąd się u autora wzięły namiętności w zwierzętach (str. 64), zgoła sprzecznie z tem co powiada dalej (str. 66): „Ze wszystkich stworzeń jeden człowiek może nadużywać. Zwierzęta używają darów przyrodzenia, ale tylko w granicach samych skłonności, raz zaspokojone, zatrzymują się; dla ustalenia ogólnego porządku, Bóg chciał, aby ich żądze ustawały po nasyceniu. Przeciwnie, żądze człowieka są tak nadzwyczajne...“ i t. d. Otóż ten jeden fakt zesfery uczucia już byłby dostatecznym do okazania wyższości człowieka nad zwierzę; on z zdolnością wrodzoną sobie wykracza poza skłonność naturalną, ale i w granicach jej utrzymać się może i nawet ją zupełnie stłumić. A co mu w tem przewodniczy? oto pojęcie dobra, prawo moralne.

Tym sposobem wchodzimy niechcący w sferę woli, która człowieka czyni panem siebie i panem świata. Każdy czyn jego jest jego własnością, kiedy każdy czyn innej istoty, jest tylko nieuniknionem następstwem organicznem potrzeby naturalnej.

Prócz tej niezgodności wykładu autora z istotą rzeczy, całe jego stanowisko moralne objęte niniejszą rozprawą jest nader piękne i wzniosłe, a obok tego pouczające. Obywatelski a uczciwy grunt na którym pracę swoją rozpostarł przejawia się w tych słowach: „Człowiek cnotliwy jest ten, którego wola istoty duchowej silniejszą jest od woli istoty materialnej. Gdy te wole spotykają się, następuje walka, z której wychodzi, stosownie do silniejszej woli: Epaminondas lub Cezar, Sokrates lub Sylla, Washington lub Bonaparte, mądrość lub ambicya ze wszystkiemi jej następstwami.“ Takie są ogólne dążenia moralności przedstawionej przez Aimé-Martina, której szkoda że tak małą częstkę dała nam autorka przekładu (proszę powiedzieć: tłumacz w rodzaju żeńskim), władająca dobrze językiem i zastanawiająca się nad znaczeniem wyrazów w zastosowaniu ich do filozoficznych pojęć, do czego nie wszyscy jesteśmy przywykli.

KOMMUNIKACJE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

W przeszłym naszym sprawozdaniu z dziedziny przemysłu, zapowiedzieliśmy szersze rozpisanie się o tak ważnym dla kraju przedsięwzięciu, za jakie uwa-

żamy projektowaną kolej żelazną piotrkowsko-sandomierską. Szczęśliwym wypadkiem odbieramy właśnie w tym przedmiocie list z miejsca, bo z pod Wąchocka, z którego przytaczamy kilka ustępów objaśniających całą tę sprawę, a podajemy je tem chętniej, że odpowiadają na niektóre punkta polemiki toczącej się w pismach naszych o kierunku nowo-projektowanej linii. Oto co pisze nasz korespondent.

„Pełna życia i fabrycznego ruchu okolica nasza cieszy się nadzieją dościa do pomyślniejszego jeszcze stanu jak obecny, pod względem rozwoju przemysłowego, za którym niezawodnie pójdzie i postęp rolnictwa. Nadzieje te nasze opieramy na projektowanej kolei żelaznej z Piotrkowa do Sandomierza, który to projekt ze sfery abstrakcyi, przechodzi na pole wykonania. Czy ten upragniony dla tutejszej okolicy fakt spełni się zaraz, czy odwlecze na lat kilka, przy niesprzyjających podobnym przedsięwzięciom okolicznościach finansowych Europy, (własnymi bowiem siłami niepodobnaby nam było tego dokonać), trudno jest powiedzieć stanowczo; to tylko wiemy napewno, iż pragnący dobra powszechnego obywatele i właściciele zakładów hutniczych, teraz już postanowili zająć się zebraniem odpowiednich danych, tak pod względem techniki inżynierskiej, jak i wiadomości statystycznych mogących objaśnić o ekonomicznej przyszłości tej drogi i wykazać kapitalistom istotną jej korzyść dla kraju, oraz pewność godziwych procentów od summ na nią lokowanych. Zbadanie takiej natury przedsięwzięcia uważamy za bardzo pożyteczne, jasno bowiem wyłożone dane mogą zachęcić kapitalistów i przyspieszyć urzeczywistnienie projektu; w każdym razie łożone w tym celu niewielkie koszta stracone nie będą, prędzej bowiem czy później materiały dziś zebrane swój użytek znajdą, gdyż linia kolei o której mówimy, z powodu potrzeby w fabrykach żelaznych materiału opałowego, musi być wykonaną koniecznie. Dlatego też z prawdziwą dowiedzieliśmy się radością, że przed kilkoma tygodniami (w końcu lutego) okolice nasze zwidziała kompania obywateli, właścicieli fabryk hutniczych, pod przewodnictwem dwóch braci p. p. Marczewskich, inżynierów drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, znanych krajowi z pożytecznego wydawnictwa Dziennika politechnicznego. Fakt ten, bez oddawania się już złudnym nadziejom o kompaniach zagranicznych, uważamy w znaczeniu które staraliśmy się określić powyżej.

„Pierwszem interesującym w tym względzie pytaniem jest kierunek przyszłej linii, który naturalnie wybrany być musi z uwzględnieniem okoliczności terytorjalnych, jak i z uwagą na ekonomiczne znaczenie linii; wszelkie więc pojedyncze pragnienia i widoki przed temi przeważnemi względami ustąpić muszą. Ze każdy obywatel przez swe grunta pragnąłby mieć przeprowadzoną kolej, rzecz to łatwa do pojęcia; opowiadano nam nawet iż jeden z ziemian, posiadający blisko Sandomierza obszerne dobra, ofiarował znaczne kapitały, z warunkiem skierowania linii przez jego terytorium; ale rozumie się że ofiara taka tylko w połączeniu z dobrem ogólnem przedsięwzięcia mogłaby być przyjęta.

„Jeżeli jednak pod tym względem czynione są częstokroć starania, spotykamy także i ogólniejsze życzenia. Tak n. p. korespondenci Gazety Warszawskiej dwukrotnie wskazywali kierunki przez siebie upragnione. W pierwszym z tych artykułów przyjęty jest kierunek od Piotrkowa do Kielc, Sandomierza, zapezwony przez Raków, Klimuntów; w drugim p. Aloizy Fibisch projektuje drogę od Strzemieszyc na Miechów, Działoszyce, Wislicę do komory Rataje, z kąd mogłaby łączyć się z kolejami galicyjskimi. Trzeci kierunek, największe mający szanse urzeczywistnienia, jako dogodny pod względem technicznym i ekonomicznym, a który właśnie wspomniona wyżej kommissya zwiadzała, jest od Piotrkowa na Opoczno, Suchedniów, (inni wskazują Końskie, a nawet Szydłowiec) do Wąchocka, Kunowa, Ostrowca, Czmielowa, przez Studoly do Sandomierza. Rzuciwszy okiem na te kierunki, łatwo się przekonać o rzeczywistej wyższości ostatniego. Główną usługą projektowanej kolei jest połączenie bogatych kopalni węgla kamiennego, z wielkimi fabrykami, a mianowicie z hutami żelaza, które zasiany jest powiat opoczyński i znaczna część opatowskiego nad wybrzeżem Kamionny. Wielkie piece przetapiające obfite rudy na surowiec, prowadzone są dotąd na drzewie; górnictwo rządowe okręgu wschodniego, posiadające obfite i oddawne dobre zakonserwowane lasy, ma przeszłość pod tym względem zapewnioną; lecz zakłady prywatne, posługujące się lasami prywatnemi, przy silnym takowych ubytku, już dziś narażone są na wysokie koszta produkcji żelaza, które to koszta w następstwie wrosnąć jeszcze mogą, a nawet sama produkcya, przy ciągłej

trzebieży borów, zatamowaną być musiała. Zład owa gorąca żąda węgla kamiennego, którego transport z Dąbrowy jedynie projektowaną koleją mógłby się uskuteczniać; nadto kolej ta mogłaby prowadzić wyrobione zapasy żelaza w okolice kaliskie, wrocławskie i pockie, po kolei warszawsko-wiedeńskiej i łowicko-bydgoskiej. Inne produkta przewozowe, jak: zboże, wapno, towary kolonialne, nakoniec ruch pasażerski, mało mają pod tym względem znaczenia, gdyż albo transport ich w większych partyach, z powodu wysokiego frachtu, nie będzie mógł być wykonywany dość ogólnie, albo przewóz w każdym kierunku będzie jednakowy i równiej ważności.

„Tak więc kierunek największą ilość węgla kamiennego konsumujący, musi mieć pierwszeństwo; a łatwo się przekonać że linia przez komisją zwidzana powyższą zaletę posiada. Kierunek przez p. Fibischa wskazany, idzie okolicami zamożnymi w zboże, ale ogółem zupełnie z fabryk, a lubo autor utrzymuje że konsumcja węgla w Stopnickiem, Proszowskiem i Szkalimierskiem na domowe potrzeby i dla kowali byłaby znaczną, trudno ją przecież porównywać z konsumcją fabryk, z których każda tysiące korey rocznie zużywać może. Linia którąśmy wymienili, od Piotrkowa do Wąchocka przecina okolice fabryczne Przysuchy, Chlewisk, Końskich, Nieklani, Krasny, Bliżyna, zasiane zamożnymi hutami żelaznymi prywatnymi, dostarczającymi ogromnych mas w dobrym gatunku żelaza. Dalej suchedniowskie zakłady, piece w Rejowie, Bzinie, Mostkach, Parszowie, należące do górnictwa rządowego, które niezawodnie, po wypuszczeniu ich w dzierżawę prywatną, przejdą na węgiel kamienny, gdy go tanio dostaną—konsumować go mogą nieco więcej, aniżeli wszystkie gminy stopnickie i kowale proszowscy. Bogate fabryki po za Wąchockiem, jak piece wielkie w Starachowicach, Chmielowie, Klimkiewiczowie, (własność banku polskiego), cukrownia w Częstocicach, zakłady bodzechowskie pp. Kotkowskich, Czmielów, są to wszystko zakłady na które pod względem ruchu transportowego snadniej liczyć można, niż na transport zboża, który koleją daje się uskuteczniać tylko przy wysokich cenach tego produktu. Poprowadzenie kierunku od Chmielowa do Sandomierza warunkowane być tylko może względami terytoryalnych dogodności, gruntu bowiem tutejsze, połamane w liczne wzgórza, niewszędzie odpowiadają wymaganiom technicznym. Na linii tej ostatniej wapno z kopalni bałtowskich z pod Zawichosta, a mianowicie z Ujazdu, odznaczające się doskonałym gatunkiem, gips z pod Staszowa i z Rybnicy, oraz pszenica sandomierska i opatowska, mogą powiększyć transport. Byłoby wprawdzie do życzenia aby kolej przechodziła przez tak ważny punkt jakim są Kielce, lecz wtedy trzebaby znaczną część fabryk, znakomity ruch transportowy zapewniających, opuścić. Zresztą kolej w tym jaki podaliśmy kierunku dotknęłaby handlowego miasta Opatowa lub Końskich, fabrycznego Wąchocka i Ostrowca, w którym to ostatnim koncentruje się handlowy ruch Opatowskiego i znacznej części Soleckiego. Obróty roczne w tej miejscowości oceniają na milion przeszło złotych, do czego przyczyniają się liczne jarmarki i zamożny handel.

„Te to względy, (a moglibyśmy mnóstwo innych przytoczyć) przemawiają za koleją z Piotrkowa na Ostrowiec do Sandomierza. Zyskałoby na tym niezmiernie ogółem z drzewa Sandomierskie, raz że węgiel kamienny służyłby tam za opał, powtóre że możnaby przy łatwej komunikacji z lasów sto-krzyżkich, przedborskich, ilżeckich sprowadzać drzewo, którego taki brak uczuwa Sandomierskie, niemniej dobrze zaludnione jak Stopnickie, za którym p. Fibischa w Gazecie Warszawskiej przemawia.

„Drugą kwestyą żywo górnictwem naszą okolicę obchodzącą, jest piękna myśl założenia szkoły sztygarów; rzeczywiste zakład podobny dla naszego przemysłu jest potrzebny, i dwie takie szkoły, w okręgu zachodnim i wschodnim, nie byłyby zbyt cenne. Dotychczas potrzeby nasze pod względem sztygarów zaopatrujemy przez sprowadzanie cudzoziemców, po największej części ze Szląska pruskiego. Jak niedogodną to jest rzeczą, ile na tym tracimy, niestrudno pojąć. Największą jednak krzywdę ponoszą nasze polskie górnicze rodziny, które synów swoich, dla braku odpowiedniego zakładu, nie mogą kształcić na użytecznych krajowi techników-górników. Z otwarcia szkół górniczych specjalnych, do których mogliby uczęszczać dzieci zamożniejszych mieszczan i włościan tutejszych, danoby tym ostatnim nowe pole kierowania swych synów, a także wprowadzenie sił świeżych w zawody techniczne, nie małe krajowi przyniesłyby mogły korzyści. Zgadzać się w ogólnej myśli z podaniem projektami szkoły sztygarów, zro-

bić nam wypada uwagę, iż wolelibyśmy ją mieć w Wąchocku, niż w Końskich, choćby już z tej przyczyny, że to ostatnie miasto otrzymać ma pięcioklasową szkołę, a Wąchock od lat trzydziestu tęskni za jakimkolwiek zakładem naukowym. Bliskość kopalni i fabryk żelaznych, posiadających zdolnych ludzi na nauczycieli, przemawia także za Wąchockiem. Do pomieszczenia szkoły służyćby mógł dawny klasztor po ks. cystersach, którego podźwignięcie niewielkichby kosztów wymagało; zasługa w tym nawet byłaby podwójną, bo uratowanoby piękny zabytek przeszłości i użyto zdrowe jeszcze mury na cel pożyteczny.“

Na tém kończymy wyjątki z listu naszego korespondenta, a kończymy tém śpieszniej, iż wspomnieliśmy nam jeszcze wypada o dwóch sprawozdaniach rocznych Domów zleceń plockich i wrocławskich rolników. Są to szacowne dokumenta, mocno przemawiające za pożytkiem czysto naszej obywatelskiej instytucji Domów zleceń. Sprawozdania te, spodziewać się należy, każdy dobrze życzący krajowi odczyta z przyjemnością, wróżą one bowiem przyszłym usiłowaniom Domów piękne i trwałe owoce. Pod względem podobnie czysto handlowym każdego one zadowolili powinni, utrwalając ufność i rozszerzając kredyt tych instytucji. Dom rolników plockich za 17 miesięcy dał procentu wraz z dywidendą po 13 rs. 59 kop., a Dom wrocławski po 8 rs. 8 kop. 40 za peryód roczny. Wypadki te przewyższają nadzieje.

Zwrócić nam także należy uwagę na znakomity udział kapitałów lokowanych w Domach, udział który się rok rocznie powiększa. W Domu plockim złożono na terminową lokacyą takich kapitałów 104,624 rs., w domu wrocławskim 23,373 rs. Pierwsze, prócz prawnego procentu, otrzymały dywidendy po 53 kop. za każdy miesiąc. Wprawdzie, z powodu gwałtownego zniżenia cen na ziarno, komitenci, prowadząc zboże za granicę za pośrednictwem Domów, nie osiągnęli takich zysków, jakiby otrzymali sprzedając je na miejscu; to przecież odrzucać ich nie powinno, bo jak dobrze wyraża się sprawozdanie Domu plockiego: za ogólną ilość oddanego Domowi zboża, więcej wpłynęło do kraju naszego pieniędzy, niżeli gdyby to zboże spławionem zostało przez pojedynczych kupców. Niezawodną jest także prawdą, że osiągnąć się mogą wyższa cena nigdyby u nas nie istniała, gdyby nie konkurencya, którą działania Domów zleceń wywołały. Okoliczność więc że obroty handlowe w jednym roku nie dozwoliły komitentom ciągnąć dość znacznych zysków, nie powinna zrażać od szczerzego popierania tyle pożytecznych instytucji. Teraz oczekujemy sprawozdań Domów rolników nadwiślańskich, podlaskich i augustowskich, pragnąc szczerze aby podobny jak rozbieżane przyniosły rezultat.

OBRAZY KRAKOWSKIE.

(Dokończenie.)

Obchód dnia 14 września.

W ciągu trzydziestoletniego istnienia wolnego miasta Krakowa, rocznica ta była jedyną uroczystością publiczną dla jej mieszkańców. W tym dniu obchodzono pamiątkę ustanowienia w r. 1815 wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa i jego okręgu.

O brasku muzyka milicyi krakowskiej obchodziła dołako rozległy rynek, budząc ze snu mieszkańców stolicy dziarskimi marszami i wesolemi krakowiakami. Na to radosne hasło porywało się wszystko ze snu; w jednej chwili, jak na skinienie czarnoksiężki rósłki, otwierały się okna wszystkich domów, a na każdej twarzy malowała się weselość w jaką stroiło ją przyjemne przebudzenie rodzinna nutą. Miasto przybierało szatę świąteczną, sklepy zamykano, ludność strojnie przybrana tłumnie zalegała ulice, a z Wawelu wystrzały działowe, przerywając wspaniały hymn króla polskich dzwonów Zygmunta, głosiły doroczną uroczystość.

O godzinie 10 z gmachu św. Piotra wychodził senat rządzący, otoczony urzędnikami. Pochód otwierała muzyka milicyjna w błękitnych mundurach, z całym janczarskim przyborem, nie wyjmując kilkuset dzwonek otaczających księżyc i kulę złocistą, przedmiot podziwu drobnej dziatwy krakowskiej. Przed nią olbrzymi tamboraż, z szeroką i długą brodą, w grenadyerskiej bermycy, wywijał sztucznie laską zakończoną kulą złocistą. Po za muzyką szło trzech saperów w bermycach, z toporami i brodami; dalej komendant milicyi Filip Witkowski, stary wiarus napoleoński, dziarski, wysoki i otyły; za nim trzy kompanie piechoty: grenadyery, fizyliery i woltyżery, wszystko przybrane na wzór stariej gwardyi Napole-

ona I. Grenadyery w ogromnych niedzwiedziach bermycach, w granatowych mundurach z białymi rabatami, wyciętymi z przodu, mieli czerwone bawełniane szlify i białe czechczery. Fizyliery kaskami niższymi, brakiem szlif, a woltyżery zielonemi szlifami i czworogrannymi kaskami z wysokimi kitami i sumtemi białymi kordonami, różnili się od grenadyerów. Dowodzili im kapitanowie i porucznicy: Czerwiński, Przybylski, Piątkowski, Przeclawski i Jabłoński, wszystko legionieści. Błogie uczucie napełniało serce na widok tych marsowatych wiarusów, bo znaczna część milicyi składała się z żołnierzy wojsk księstwa warszawskiego, a ubiór i postawa milicyi krakowskiej świadkiem wojen 1806—12 roku przypominała w miniaturze wielkich aktorów dramatu wstrząsającego niedawno światem.

Za piechotą, trzysta kilkadziesiąt głów wynoszącą, jechał pluton żandarmeryi świetnie przybranej, wymusztrowanej dobrze, na dzielnych koniach. Szły dałéj cechy z chorągiewkami niesionymi przez chorążych, po staropolsku i w litych pasach przybranych; dalej kapłani mojżeszowi z rodalem, władze sądownicze i administracyjne, senat rządzący i dygnitarze kościoła katolickiego. Pochód zamykał kilkunasto-tysięczny tłum gwarliwej i wesolej ludności, a wszyscy dążyli ku kościołowi archiprezbiterjalnemu Panny Maryi, gdzie odprawiało się solenne nabożeństwo, któremu towarzyszyły salwy ręcznej broni, oraz wystrzały artyleryi krakowskiej.

Wiedziecie bowiem czytelnicy, że oprócz saperów, woltyżerów i kawalerji, była także artylerya. Składała się ona z jednej długiej żelaznej sześciofuntowej śmigownicy, zabytku starego z czasów szwedzkich, oraz trzech jednofuntowych działek żelaznych mikroskopowych rozmiarów. Szczęśliwa doła była udziałem tej artylerji: przez cały rok odpoczywała sobie w zbrojowni zankowej, nie włączając się niepotrzebnie po musztrach i nie odzywając się wcale; ale też zato w dniu 11 września, jak się rozgadała stara babuła szwedzka, to już bez litości i umiarkowania huczała dzień cały, nagradzając sobie całoroczne milczenie.

Starzy weterani, nienależący do służby czynnej, palili z niej od świtu aż do nocy na wiwat, z wielką swoją uciechą, a podziwieniem mnóstwa uliczników, którzy im przez cały dzień z wielką rewerencyą asystowali. Nabijano śmigownicę, jak zwykle każde działo, prochem, a na przybitkę używano darniny, której na plantacyach nie braknie. Raz nawet smutny z tego powodu zdarzył się wypadek: jeden z zuchwalszych uliczników, ciekaw wielce jak to działo wygląda w środku kiedy zeń strzelają, w chwili przyłożenia lontu do panewki, zjrzał mu w gardło, a wystrzał położył trupem zbyt gorliwego badacza.

Po nabożeństwie miasto wracało do codziennych zatrudnień, i do godziny piątej niktby nie przypuścił że jakaś uroczystość obchodzi się w murach Krakowa, gdyby nie ciągała wędrowka pospółstwa ku Florjańskiej bramie.

Wspominaliśmy że szerokie kilkorzędne aleje z kasztanów i topoli wieniec otaczają Kraków, oddzielając go od przedmieść. Powstały one na miejscu dawnych murów, wałów i foss, i noszą nazwę plantacyi. Otóż na tych plantacyach, w stronie północno-wschodniej miasta, jest koło obszerne, otoczone kręgiem smukłych topoli, w pośrodku którego stoi niewielki wzgórek. Zauważali miejsce to zapewne wszyscy, którzy zwidzając Kraków przybyli koleją żelazną. Chcąc się z dworca kolei dostać do miasta, przechodząc koniecznie wypada przez wspomniane koło. W miejscu gdzie dziś jest wzgórek, przed zajęciem Krakowa stał słup bardzo wysoki bialo-niebiesko pomalowany, z chorągiewką na szczycie, na której był wyrity rok 1822. W tym tedy dole dnia 14 września rozpinano namiot, a w nim w popołudniowych godzinach rozdawano pospółstwu: chleb, kiełbasy, sery owoce, wodkę i piwo. A taka była hojność skarbu, że nietylko sami obecni mogli się nasycić, ale jeszcze w dzbany i konwie zabierali piwo, a w chustki żywność, ażeby uraczyć swych domowników.

O godzinie piątej w całym mieście słychać było trzask zamykanych sklepów, i wszystko co żyło opuszczało mieszkania, śpiesząc na ulice. Z nastaniem zmroku szczyt wieży ratuszowej i jej wszystkie ganki nagle zajaśniały mnóstwem lamp, wieża Maryacka odpowiadała tej iluminacyi, a na to hasło pojawiały się światła we wszystkich oknach całego miasta. Reszta mieszkańców wychodziła z domów, łącząc się z tłumem płynącym wszystkimi ulicami ku plantacyom, w kierunku wspomnionego koła. Wszystkie drzewa alei jaśniały od lamp, a najrzęściej gorzał wielki wiąz w dole, o kilkadziesiąt kroków przed kołem muzycznym.

Noc zupełna; w pośrodku koła majaczej jakieś słupy, dziwnymi przyborami okryte. Słychać gwar kilkunasto-tysięcznego tłumu; ale przy migotliwym blasku rzadkich tu lampek, niepodobna o kilka kroków znajomego rozpoznać. Ciemność to umyślna, nie z zaniedbania pochodząca. Nagle pada silny wystrzał, wtóruje mu płacz kilkuset przestraszonych dzieci i głosy matek uspakajających pieszczoszków. Wtém z pośród koła wylatuje snop rac, pękających pod obłokami z hukiem i sypaniem różnokolorowych gwiazd. Muzyka milicyi, siedząca dokoła słupa w ciemności, uderza dzielnego krakowiaka; okrzyk *wiwat!* wydzieiera się z tysiąca piersi; wnet sypią się brylantowe fontanny, syczą szybko wirujące młynki, pękają szmermele, błyszczą turbiliony, ogniste węże przeryniają powietrze, strzelają żaby, huczy kowal, dęszcz rzymskich świec rozjaśnia koło, i widać morze faliste niezliczonych głów, i słychać wesołe okrzyki, a muzyka jak gra tak gra, wciąż krakowiaka, a coraz innego, a coraz żwawszego i piękniejszego. A stara matrona szwedzka od czasu do czasu puknie opodal, aż ziemia jęczy. Nakoniec wylatuje z czarnego czworoboku szesnaste fontan ognistych; sypią jak wulkan różnobarwnymi iskrami, a w pośrodku na czarném tle pojawia się brylantowo jaśniejący herb wolnego miasta, trzy baszty na półokrągłym murze, z orłem w otwartą bramie; muzyka uderza najulubieńszego krakowiaka, a na ten widok zapał dochodzi do szczytu, niema końca okrzykom i klaszczą dłonie aż do spuchnięcia. Wtém gaśnie herb wolnego miasta, pęka szesnaste wystrzałów kończących fontanny i ciemność zalega koło.

Ale krakowiak ciągle brzmi, ciągle wygrywa i nie ustaje na chwilę, i ta nuta nadziei wiedzie za sobą tłumy w uroczysty pochód dokoła rynku oświetlonego. Cała publiczność szła za muzyką w ulicę Grodzką, aż przed bramę gmachu rządzącego senatu. Tam odgrywano parę dziarskich mazurów i jeszcze krakowiaka na dobranoc, a potem wszyscy gromadnie, wesoło i gwarliwie rozchodzili się do domów.

Ani jeden ekwipaż nie pojawiał się tego wieczoru na ulicach, bo arystokracja republikańskiego miasta, nie chcąc przeszkadzać wolnemu krążeniu publiczności, mieszała się z tłumami i pieszo śpieszyła dzielić wspólną uroczystość.

Królem dnia tego był stary Zawrzał, majster kominarski, a przytém ogniomistrz, przysposabiający sztuczne ognie na dzień jedenastego września. O tym Zawrzałe powiadają, iż kiedy rząd austriacki objął pierwszy raz Kraków i szukano kogoś coby zdjął dawny herb ze szczytu ratusznej wieży, a wiedziiano że zręczny i młody wówczas Zawrzał dokonać tego potrafi, on, mimo zachęty i nagrody znacznej, nie chciał się podjąć tej czynności. W r. 1809, z własnego popędu, wdął się na sam szczyt wieży, w obec mnóstwa widzów, i oświecił go rżęsiście.

Trzeba było widzieć Zawrzała na placu sztucznych ogni, w popołudniowych godzinach, w dniu obchodu, jak z miną starego wodza kierował przygotowaniem do popisu, a mnóstwo gawiedzi i uliczników asystowało mu, patrząc z głębokim poszanowaniem na każdy ruch, uprzedzając każde skinienie i rozstępując się jak fala przed nim, gdy przechodził od słupa do słupa. Szczęśliwy, któremu pozwolił przytrzymać kij od racy, albo kółko młynkowe; wszyscy inni z zawzięcią patrzyli na wybranego. Raz w rok używał ogromnej popularności, w dniu jedenastego września. Bodaj to umiść robić fajerwerki!

Ostatni wesoły obchód rocznicy 41 września odbył się w r. 1844. W następnym roku dęszcz przeszkodził, a lubo zwykle w takim razie odkładano iluminacją i sztuczne ognie na najbliższą niedzielę, jednak prezes ówczesny senatu krakowskiego niebardzo lubił bawić się w obchody, i publiczność musiała się bez niego obejść. W następnym roku już nie było czego obchodzić.

Wł. L. Anzyc.

DUMKA NIEMNOWA.

W kowieńskiej dolinie
Podumać przyjemnie,
Niby przy dziewczynie,
Gdy tęskni wzajemnie.

Przez Litwy obszary,
Jak z dziewią dłoń w dłoni,
Niemen, — Litwin jary,
Z Wiliją w dal goni.

W Baltyku głębinach

Z bratnią Wisły wodą
O córach i synach
Rozhovory wiodą.

Gdzie błękitne stadło
W uścisku się zbiegło,
Stare Kowno siadło,
Na dumanie legło.

Samo strojne w bieli,
A hełm ma czerwony,
Niby przy niedzieli,
A dywan zielony.

Siedmioma wieżami
Modli się do nieba,
Jak siedmią dłońiami,
Duchowego chleba.

A bliźniami lica
Czarna od starości,
Perkucza świątnica
Gada o przeszłości.

I rzewnie spoziera
Oczyrna tęsknoty,
Kędy się rozpiera
Góra Aleksoty.

Krwawy szlak krzyżowy
Tędy ujście miewał,
I kraj Perkunowy
Krwia i ogniem zlewał.

Tędy biegły, tędy,
Litewskie junaki
Mściwemi zapędy
Na wrogi Krzyżaki.

Zgasły stare boje,
Zmierchły stare dzieje,
Inne dzisiaj znoje,
Bóle i nadzieje!

Tęsknie Niemen szumi
Jakieś stare pienia,
Niby mąż, co tłumy
Głębokie westchnienia.

Po Niemnie suwają
Ze-zbożem wiciny,
A w Niemnie igrają,
Wabiące Ondyny.

Choć ciche ma wody,
Lecz podrywa brzegi,
Wzbiera jak duch młody
Z wiosennymi śniegi.

W czas północy głuchy,
Gdy ludzie w śnie toną,
Mkną się smętne duchy
Konrada z Aldoną.

Ponad okolicą,
Po krzyżackim szlaku,
Kniaź Witold z szablicą
Sadzi na rumaku.

Kiedy księżyc wschodzi
Przy słowika pienia,
Duch Adama schodzi
Dumać na kamieniu.

W kowieńskiej dolinie
Podumać jest błogo,
Niby przy dziewczynie
Gdy sercu jest droga.

Tadeusz K.

OD REDAKCYI.

W numerze 58 naszego pisma, dając wizerunek i życiorys Wojciecha Bogusławskiego, w przypisku ogłosiliśmy że:

„Redakcja Tygodnika Ilustrowanego, pragnąc aby miejsce spoczynku zasłużonego artysty dramatycznego

i pisarza uczczonem było jeżeli nie okazałym pomnikiem, to skromnym przynajmniej kamieniem nadgrobnym, oświadcza niniejszem gotowość przyjmowania składek od czcicieli jego talentu. Jako pierwszy związek potrzebnego na ten cel funduszu, wydawca, redakcja i niektórzy współpracownicy Tygodnika złożyli złp. 110.“

Pisaliśmy to 3 listopada 1860 r.

Po tym dniu złożono nam jeszcze: od J. L. zł. 6 gr. 20, od A. K. zł. 6 gr. 20, bezimiennie z Petersburga zł. 7 gr. 10, od J. R. z Krakowa zł. 44 gr. 16, od A. S. zł. 3 gr. 10, bezimiennie z Ługi zł. 20; — razem więc otrzymaliśmy na pomnik s. p. Wojciecha Bogusławskiego zł. 198 gr. 16.

Obecnie w Nrze 402 Kuryera Warszawskiego z d. 3 b. m. i r. wycytujemy artykuł następujący:

„Na cmentarzu powązkowskim wzniesiony już został kosztem rodziny pozostałej po s. p. Wojciechu Bogusławskim, twórcy sceny ojczyściej, pomnik dla tego tyle zasłużonego męża. Składki przeto ze strony prywatnych osób są już niepotrzebne. A że w samym początku upłynęło na ten cel kilka takich ofiar, upraszamy zatem ofiarodawców o odebranie, lub nadanie im innego przeznaczenia. Pomnik o którym mówimy, wzniesiony został w kształcie sarkofagu i ozdobiony dwuwierszem s. p. Ludwika Osieńskiego, w którym tenże skreślił wszystkie zasługi s. p. Wojciecha.

Dwuwiersz ten brzmi jak następuje:

„Krzywdzące głos ojczysty mniemania umorzył,
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.“

Cieszymy się że pamięć zasłużonego rodaka została wreszcie uczczoną jak należy, tém bardziej że jak się zdaje odezwa nasza pierwszą do tego stała się pobudką. Co się zaś tyczy użycia przesłanych nam składek, oczekujemy od dawców wiadomości w przeciągu trzech miesięcy od daty dzisiejszej. Po upływie tego terminu uważać się będziemy za upoważnionych do rozrządzenia powyższą kwotą, według własnego uznania, na cel dobroczynny.

Panu Janowi Chr. w Kobryniu. Grammatyczne uwagi pańskie co do używania zaimków dzierżawczych *mój, twój, swój*, spowodowane korespondencją z pod Opatowa zamieszczoną w N. 129 naszego Tygodnika, nie mają ani naukowej, ani nawet zwyczajowej podstawy. W języku polskim zaimka *swój*, (który trafnie Mroziński nazwał *dzierżawczym zwracającym*), używamy wszędzie, bez względu na osobę i liczbę, gdzie w zdaniu jakimś dzierżenie czegoś odnosi się do przedmiotu czyli subiekty tegoż zdania. I tak, mówimy i piszemy: zabrałem *swój* (nie *twoje*) książkę; wracamy do *swoich* (nie *naszych*) zatrudnień i t. p. Słusznie więc i korespondent nasz napisał: „My tylko spełniamy *swój* (nie *nasz*) obowiązek.“ Jeżeli przeczenie dzierżenie odnosi się nie do subiekty zdania, lecz do innej osoby, wtenczas używamy, stosownie do potrzeby, zaimków *mój, twój, nasz, wasz*; n. p. zabrałem *twoje* książki; pomagacie nam w *naszych* zatrudnieniach i t. p. Jest to jedna z odrębnych właściwości naszego języka, której strzedz powinniśmy, jako drogiej po ojcach puścizny, a którą, niestety! lepsi nawet pisarze polscy niezawsze zachowują. „Stój statecznie przy onych *swych* (nie *tych*) poczciwych obyczajach,“ mówi Rej w „Żywocie poczciwego człowieka.“ Pilnujmy więc i zwyczaj rodzinny *swój* (nie *nasz*) mowy, jako świętości nieetykalnej; bo ani się spostrzeżem, jak zabrujemy w łacinę, frauczczynę lub niemczyznę. — Dalsze uwagi co do powtarzania zaimka *się* przy każdym osobno słowie, również są bezzasadne. Weźmy n. p. zdanie następujące: cieszymy się i smucimy razem. Pan Jan Chr. każe pisać: cieszymy się i smucimy się razem. Tymczasem na takiem kofonicznym powtarzaniu ani poprawność, ani jasność, ani wreszcie harmonijność przytoczonego okresu bynajmniej nie zyskuje; widocznie bowiem zaimk *się* zwracający się odnosi się tu i do słowa drugiego. Dobrze więc wyraził się tenże nasz korespondent: „Nie dziwię się, ale serdecznie raduję z tego.“ — Streszczając to cośmy wyżej powiedzieli, do takich przychodzimy wniosków: 1. Żądanie p. Jana Chr. co do zaimka dzierżawczego *swój*, jest grzechem wyrażnym przeciw językowi, i nie radzimy mu wcale ani z niem występować publicznie, ani nawet prywatnie w czyn go wprowadzać. 2. Żądanie co do zaimka zwracającego *się*, jest wprawdzie nieszkodliwe, ale zakrawa na puryzm niepotrzebny, z którego więzów pedantycznych raz przecież otrząsnąć się powinniśmy.

Panu A. M. w Radomiu. Nadesłane próbki poetyckie nadto są młodociane, abyśmy wydrukować je mogli. Dobrze to dla autora, o ile zaspakaja wewnętrzną jego potrzebę, dobre nawet dla przyjaciół, lecz nie dla ogółu czytających.

Panu J. K. we Lwowie. List pański odebraliśmy za późno, bo już po wydrukowaniu końcówki w mowie będącej. W nadesłanym samomacie dziwna zasza pomylka: pieśnek czarny H 3 postępuje na H 4, a potem bije na G 5, — gdy przecież podług rozpołożenia szachownicy nie może posuwać się w górę, tylko na dół. Przed wyjaśnieniem przeto tej okoliczności, z zadania użytku zrobić nie możemy.

Pani A. O. w Koźuchowie. Obrazy zakupione w roku zeszłym przez warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych oddawna już zostały rozlosowane. Są jednak do nabycia za tę samą cenę bilety na losowanie tegoroczne. Jeżeli to się zgadza z życzeniem pani, tedy prosimy o przesłanie pod adresem redakcyi Tygodnika zł. 33 gr. 10, a my odwrotną pocztą odeszliśmy bilet.